NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 10 listopada 1906 r. Nr. 45.

70.000 dzieci-bohaterów.

(Treść na stronie 2).



70.000 dzieci-bohaterów.

(Do illustracyi tytułowej).

Zapatrzeni w to wszystko, co się od paru lat dzieje w Królestwie, omal żeśmy nie zapomnieli spoglądać w stronę Księstwa. Aż tu naraz od



Śmierć synowca cesarskiego Ś. p. arcyksiążę Otto, zmarły w 42 r. życia synowiec cesarza Franciszka Józefa, a brat następcy tronu w Austro Węgrzech, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Wielkopolski idą wieści niezwykłe Przed kilku miesiącami dzieci pewnej szkoły w Poznańskiem zupełnie nagle, z własnego popędu, oddały podręczniki niemieckie i zaprzestały odpowiadać na niemieckie pytania z religii. Za przykładem tych dzieci poszły inne. Prasa tylko notowała fakty dokonane i codzień przynosiła wiadomość o wybuchu tego rodzaju strejku szkolnego w coraz to nowych miejscowościach, gdzie dziatwa polska, domagając się nauki religii w języku ojczystym, porzucała gremialnie szkołę pruską. Aż doszło do tego, że dziś liczba polskich dzieci, w strejku szkolnym uczestniczących, przekracza już cyfrę 70 tysięcy! Potężna to cyfra, wymowna. A przecież to dopiero jedna dzielnica pruskiego zaboru, którą strejk ogarnął — Poznańskie, na Szlązku zaś i w Prusach Zachodnich ruch ten dopiero się budzi. Stwierdzić trzeba, że strejk ten nie został wywołany sztucznie przez politycznych agitatorów, lecz powstał nagle, wyłącznie z inicyatywy dzieci. I rzecz to zupełnie naturalna. Serca rodziców i dziatwy zanadto były już przepełnione goryczą i rozpaczą z powodu brutalnej działalności germanizacyjnej szkół pruskich. Zanadto boleśnie odczuwały wyszydzanie w nich i deptanie wszystkiego, co dla nich święte i drogie, małej więc tylko iskry potrzeba było, aby płomień rozgoryczenia wybuchł gwałtownie na zewnątrz. Oto posłuchajcie, co się tam dzieje. Do szkoły wiejskiej wchodzi trzech nauczycieli i zatarasowawszy drzwi ławkami za sobą, rozpoczynają katowanie dzieci „za nieposłuszeństwo". Krzyki i płacze rozlegają się po całej wsi, dochodzą nawet do uszu pracujących w polu rodziców. Kiedy to zaś długo nie ustaje, wściekłość lud ogarnia. Więc nie dziw, że naraz widły, łopaty, kłonice znajdują się w rękach chłopów, którzy ruszają kupą na szkołę.. Wszak to rodzice...

Można naród gnębić i poniewierać, można rznąć w pień i palić wsi i miasta. Europa widziała już takie tragedye barbarzyńskie... Ale wara od tego, co narodowi najdroższe, czego jak źrenicy oka pilnuje, wara od jego kwiatu i nadziei, od dzieci jego! W obronie swego potomstwa i najłagodniejsze stworzenie staje się dzikiem, strasznem i na oślep rzuca się na prześladowcę, bez względu na to, czy podoła; rodzicielskiej miłości bowiem niepodobna mierzyć zimną miarą rozsądku; nie rozum tu, a głos krwi rozkazuje czynom. Społeczeństwo polskie w Poznańskiem było zawsze najspokojniejszem ze wszystkich dzielnic Polski. Akcya narodowa odbywała się w zaborze pruskim zawsze tylko pod hasłem pracy organicznej. Dopiero tragedya wrzesińska odsłoniła utajone gdzieś



Nowy minister obrony krajowej w Austryi: Generał broni Juliusz Latscher-Lanendorf.
(Do artykułu na str. 10).

na dnie duszy, przytłoczone grubemi warstwami „trzeźwego rozsądku" i czci dla prawa, płomienie buntów narodowych, iskry takiej energii społecznej, ktora nawet wbrew prawu gotowa stanąć w obronie swego bóstwa. Strejk szkolny, przybierając rozmiary olbrzymie, zaniepokoił wielce rząd pruski i zwraca na siebie uwagę całego świata cywilizowanego, zwłaszcza, że szerzy się mimo drakońskich środków przez rząd stosowanych. Nad nieszczęsną Wielkopolską zawisła dziś groza. Dwie moce olbrzymie suną przeciwko sobie: z jednej strony potężne państwo, oparte na miliardach kapitału i milionach bagnetów, z drugiej — wolny duch spętanego narodu i gołe pięści, któremi, jękiem swych dzieci do szału doprowadzony, chłop polski wali o mury pruskiej — nie szkoły, ale katowni... Spotkają się te dwie moce i zetrą nad gniazdem polskich piskląt — o nie walcząc...



Fot. M. Münz, Lwów.

Dom akademicki we Lwowie: Prezydyum Bratniej Pomocy słuchaczów Wszechnicy lwowskiej, z okazyi poświęcenia kamienia węgielnego pod przyszły Dom Akademicki.

Śmierć synowca cesarskiego.

Dwór wiedeński okrył się żałobą. Chory od dłuższego czasu synowiec sędziwego monarchy, arcyksiążę Otto umarł, wywołując śmiercią swą żal w szczególności wśród Wiedeńczyków, u których cieszył się popularnością większą może, aniżeli inni arcyksiążęta. Zmarły był drugim synem arcyksięcia Karola Ludwika i infantki Maryi Annuncyaty, córki króla Neapolu i Sycylii, Ferdynanda II. Urodził się w Gracu w 1865 r. Już w 6 tym roku życia stracił matkę, którą zastępowała mu przez całe życie trzecia małżonka ojca, Marya Teresa Braganca. Poświęciwszy się wcześnie karyerze wojskowej, zasłynął jako zawołany kawalerzysta i póki mu starczyło sił i zdrowia, z całem przejęciem oddawał się obowiązkom zawodowym. Doprowadził do stopnia generała porucznika, a przed rokiem powierzono mu generalny inspektorat kawaleryi. W zapatrywaniach swych postępowy, przyczynił się do wywalczenia niejednej z reform, które wprowadzano w ostatnich czasach w armii. Arcyksiążę podróżował wiele po Wschodzie i na Południu. W 1897 był z oficyalną wizytą w Berlinie, a następnie towarzyszył cesarzowi do Petersburga. To też był w następstwie wizyt tego rodzaju generałem i właścicielem pułków wojsk pruskich, rosyjskich, a również teść

jego, król Jerzy, mianował go generałem wojsk saskich. W Austryi był arcyksiążę Otto właścicielem 1 pułku ułanów. Oprócz najwyższego orderu Habsburgów, Złotego Runa, był dostojny zmarły kawalerem najwyższych dekoracyj niemieckich, rosyjskich itp. Ożeniony był arcyksiążę Otto z Maryą Józefą, księżną saską (córką obecnego króla) młodszą o dwa lata od męża i miał dwóch synów: Karola Ferdynanda Józefa urodzonego w r. 1887 i Maksymiliana Eugeniusza Ludwika, urodzonego w r. 1895. Skutkiem małżeństwa rodzonego brata zmarłego arcyksięcia, obecnego następcy tronu Franciszka Ferdynanda, z Zofią hrabianką Chotek (obecnie księżną Hohenberg) był arcyksiążę najbliższym dziedzicem tronu po bracie; teraz dziedzictwo to przechodzi na pozostałych synów. Dynastyi habsburskiej ubył ze śmiercią arcyksięcia Ottona jeden z najbardziej utalentowanych członków, armia austryacka zaś traci w nim wybitnego generała i niepospolitego dowódzcę kawaleryi. Z najbliższego otoczenia zmarłego wyszły z okazyi zgonu sądy nader pochlebne o osobie arcyksięcia Ottona. Posiadał nietylko dar zyskiwania sobie przyjaciół, ale i przywiązywania ich do siebie. Ujmujący w obejściu, jednał sobie wszystkich swą sympatyczną postacią i osobistymi przymiotami. Był wesoły, naturalny i niezwykle szczery. Natura obdarzyła go nadzwyczajną urodą: wysoki, smukły i elastyczny, miał piękną głowę, a z męskiej twarzy tryskało życie i pragnienie życia. Niestety ciężka choroba, z którą długo walczył po męsku, skończyła się wcześnie katastrofą wtedy, gdy się tego najmniej spodziewano. W początkach października przebył arcyksiążę zapalenie płuc, a gdy przyszedł do sił, lekarze sądzili, że będą mogli uwolnić nawet pacyenta od używania t. zw. kaniuli (sztucznego przewodu oddechowego), z którą nie rozstawał się od roku, od czasu operacyi krtani. Tymczasem okazało się, że zapalenie płuc pozostawiło ślady w dolnym płacie lewego skrzydła. Jako nieodzowne następstwo uległo serce osłabieniu. Drobna niedyspozycya, przerwawszy pomyślną rekonwalescencyę, stała się przyczyną katastrofy. Nastąpił obrzęk płuc i śmierć skutkiem uduszenia. Prawie do ostatka chory był przytomny z wyjątkiem ostatniej godziny. Przy skonaniu była obecną ukochana macocha arcyksięcia i jego siostra. Zawiadomiony o katastrofie przybył zaraz po zgonie do żałobnej komnaty sędziwy monarcha i modlił się długo u świeżych zwłok synowca.



Fałszywy kapitan pod kluczem: Szewc Wilhelm Voigt, w ubraniu cywilnem.

Dom akademicki we Lwowie.

W tym samym dniu, kiedy lwowska Czytelnia akademicka obchodziła 40 lecie swego istnienia, odbyła się popołudniu uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę pięknego a pożytecznego gmachu, który stanie się ogniskiem domowem dla młodzieży uniwersyteckiej w stolicy Galicyi. Oto na miejscu dawnej realności hr. Fredrów, gdzie dotychczas, w otoczeniu wspaniałego ogrodu, stał pałacyk „ojca komedyi polskiej“, u zbiegu ulic Fredry, Ścieżkowej i placu Akademickiego, ozdobionego pomnikiem autora „Ślubów panieńskich“ — buduje się „Dom akademicki“. Na akt poświęcenia podwalin nowego gmachu, zebrało się liczne grono gości ze świata akademickiego, a wśród nich w szatach pontyfikalnych arcybiskupi Bilczewski i Teodorowicz, którzy przy tej okazyi do studentów uniwersytetu wypowiedzieli słowa piękne z duszy polskiej i chrześciańskiej. Załączamy tu grupę prezydyum Bratniej Pomocy słuchaczów Wszechnicy lwowskiej, którzy będą gospodarzami przyszłego Domu akademickiego.



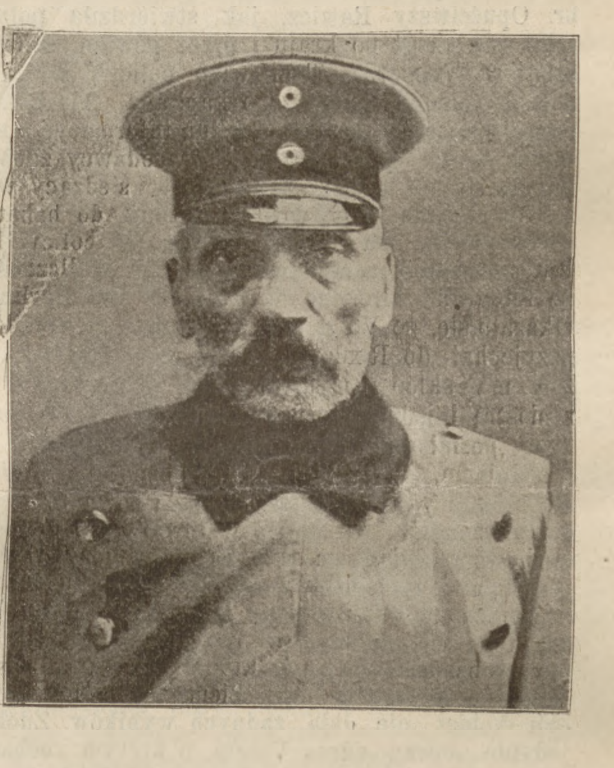
Ojciec nowoczesnego pszczelarstwa: Ksiądz dr Jan Dzierżon, proboszcz w Łowkowicach na Górnym Śląsku, wynalazca głównych ulepszeń w dziedzinie pszczelnictwa, zmarły w 96 r. zasłużonego żywota.

Ojciec nowoczesnego pszczelarstwa.

Słusznie nazwano ojcem dzisiejszego pszczelarstwa świeżo zmarłego księdza dra Jana Dzierżona, którego portrecik tu podajemy. On to właśnie zbadał i odkrył najważniejsze tajniki zasad rozpładniania się pszczół, on stwierdził, że w ulu jest tylko jedna matka czyli królowa i nauczył pszczelarzy, jak rozmnażać pszczoły przez przenoszenie zarodowych plastrów. Największy postęp swój zawdzięcza pszczelnictwo Dzierżonowi przez wynalezienie w 1851 r. ulepszonego ula ramowego. Przez kilkadziesiąt lat był Dz. powagą w dziedzinie bartnictwa i do niego po światłe rady zwracały się z całego świata instytucye pszczelarskie. Nieboszczyk był naszym rodakiem nietylko z urodzenia ale do ostatnich dni życia czuł się Polakiem i w domu jedynie po polsku mówił, a protestował surowo i stanowczo, ilekroć poważał się kto uważać go za Niemca dlatego, że znakomite dzieła swoje pisał po niemiecku przeważnie. Pochodził on z rodziców chłopów w Łowkowicach na Górnym Śląsku, gdzie na świat przyszedł w r. 1811. Oparł się germanizacyi od dziecka i ze szkół niemieckich wyszedł Polakiem. W sukience duchownej poświęcił się pszczelnictwu, ojciec jego bowiem był pilnym bartnikiem. Sam jednak ksiądz Jan ani marzył o roli, jaką mu przyjdzie odegrać na tem polu. Za olbrzymie zasługi dla pszczelnictwa położone, zasypywano Dzierżona orderami, medalami, dyplomami i wszelakiemi odznaczeniami ze strony wszystkich rządów i dworów europejskich, ale pleban w Karlsmarkt pozostał zawsze jednako skromnym, cichym pracownikiem. W późnym wieku powrócił do wsi rodzinnej i w Łowkowicach też życia dokonał, przeżywszy bez mała sto lat.

* * *

Na wszystkich polach kultury czyniono [illegible] wiekami powolne, a w ostatnich stu latach [illegible] wielkie postępy — tylko ul pozostał od [illegible] czasów zamierzchłych aż do niedawna jedn[illegible], przedpotopowy. Aby się dobrać do plon[illegible] niezmordowanej pszczółki, trzeba było wyr[illegible] cała jej robotę i nie rzadko po barbarzyń[illegible] wybijać dobrodziejkę. Plastry wosku i miod[illegible] były szczelnie przylepione do ścian ula. Ks. [illegible] Dzierżon wpadł na pomysł genialny a prosty [illegible], jak wszystko, co prawdziwie wielkie. Z okrąg[illegible]ego ula zrobił czworoboczny i zawiesił w nim ruchome snozy, tj. wązkie deszczułeczki, do których pszczoły teraz uczepiają swoją robotę. Taki snoz zarobiony daje się łatwo wyjąć bez wycinania roboty i bez wybijania robotnic. Nie koniec na tem, ks. Dzierżon uczepił pod snozem kawałek suchego plastra, z którego miód wyciekł i tem nadał pszczołom kierunek roboty. Co więcej — zakładał pszczołom całkowite suche plastry, tak, iż robotnice nie potrzebowały się męczyć wyrabianiem wosku, magazyn na składanie samego miodu miały gotowy. Za tem poszły różne inne



Fałszywy kapitan pod kluczem: Szewc Wilhelm Voigt, w przebraniu kapitana gwardyi pruskiej, w jakiem odegrał swą rolę w Koepenick.



Fałszywy kapitan pod kluczem: Mieszkanie szewca Wilhelma Voigta w Berlinie, gdzie policya uwięziła bohatera komedyi w Koepenick.

postępy w pszczelnictwie prawie do kresu doskonałości możliwej. Ogółowi naszemu znane są „dzierżony“, tj. ule nowoczesne, które już pasieki na całej kuli ziemskiej opanowały.

Fałszywy kapitan pod kluczem.

Nareszcie znalazł się pod kluczem sprytny sprawca czynu, który śmiesznością okrył miasto Koepenick i jego burmistrza. Policya niemiecka wytężała wszystkie siły, żeby dostać w swe ręce tego hultaja. Z przebiegu śledztwa dowiadywano się coraz to nowych szczegółów śmiałego oszustwa, a autora komedyi w Koepenick poczęła otaczać aureola niezwykłej odwagi i sprytu nadzwyczajnego. O wyprowadzenie w pole burmistrza i ojców miasta Koepenick posądzano wielu, wszyscy zaś zgadzali się na to, że musiał to być były wojskowy, obznajmiony dokładnie z przepisami armii. Okazało się jednak, że fałszywy kapitan jest szewcem i wcale w wojsku nie służył, a nawet wyglądu żołnierza nie posiada. Policya otrzymawszy 2000 doniesień z opisem wyglądu sprawcy, ułożyła na tej podstawie rysopis jego i rozesłała go do dyrektorów wszystkich więzień. Po kilku dniach z więzienia w Rawiczu w Poznańskiem nadeszła wiadomość, że rysopis zgadza się z wyglądem niejakiego Voigta, który przed 25 laty za włamanie się do kasy sądu w Wągrowcu skazany, przesiedział w więzieniu rawickiem od 1891 do 1 lutego br. Opuściwszy Rawicz, jak stwierdziła policya tułał się Voigt po kraju i przez pewien czas mieszkał w Wismarze. Tam więc policya berlińska poczęła śledzić fałszywego kapitana. Ale policya tamtejsza nadsyłając do Berlina informacye o nim, załączyła od jego dawnego pracodawcy zdobytą fotografię, na której szewc Voigt, siedzący wraz z siostrą, nie jest wcale podobny do bohatera z Koepenick, ma brodę i łysinę. W policyi berlińskiej jednak zastanawiono się nad okolicznością, że fotografię zrobiono w Rixdorfie pod Berlinem. Okazało się, że Voigt, gdy z Wismaru go wydalono, przyjechał do Rixdorfu, gdzie jego siostra zamężna ma sklep z mydłem. Tam fotografował się z siostrą i jeden egzemplarz swej pięknej podobizny posłał do Wismaru swemu chlebodawcy poprzedniemu. Wszystkie te okoliczności stwierdziwszy, policya berlińska pokazała ową fotografię domniemanego przestępcy w towarzystwie siostry wszystkim świadkom napadu i grabieży w Koepenick, a z tych osób każda bez wyjątku oświadczyła, że to jest właśnie fałszywy kapitan. Wobec tego udano się zaraz do Rixdorfu, gdzie policya obsadziła dom, w którym mieszka, siostra Voigta i kochanka jego Riemerówna. Rewizya u obu kobiet nie dała żadnych wyników. Zdobyto jedynie obecny adres Voigta, o którym kochanka jego powiedziała, że mieszka toraz w Berlinie przy Langerstrasse. Cały sztab policyi berlińskiej z komisarzami i legionem agentów pojechał automobilami do stolicy, żeby stwierdzić autentyczność adresu. Voigt nie był meldowany. Mieszkał kątem u pewnej rodziny, która trudni się roznoszeniem gazet. Policya osaczyła cały dom, obsadziła wszystkie wyjścia, nawet dach, pomna, że przed rokiem słynny morderca Hennig uciekł jej właśnie dachem. Był to ranek i fałszywy kapitan siedział właśnie przy śniadaniu, gdy wkroczyła policya do jego izby. Stary oszust zachowywał się przy aresztowaniu go z wielką godnością. Oświadczył między innemi, że zasady jego nie pozwalały mu na obrabowanie osoby prywatnej, pomyślał więc o zawartości kas publicznych, w których znajdują się w dostatecznej ilości potrzebne mu pieniądze. Wybrał sobie kasę miejską w Koepenick i postanowił odegrać rolę kapitana gwardyi dla ułatwienia sobie sprawy. W tym celu, ponieważ sam nigdy nie miał do czynienia z mundurem wojskowym, a co najwyżej robił może kiedy jakiemu wojskowemu buty — obserwował przez parę tygodni zmiany warty na odwachach stolicy pruskiej i wogóle zajmował się sprawami wojskowemi, a obserwacye jego okazały się skuteczne, jak się przekonał w Koepenick. Stary to lis, dobrze już kryminalistom niemieckim znany. Wilhelm Voigt urodził się w 1849. Z zawodu był istotnie szewcem, ale najwięcej czasu przepędził w kryminale. W 1869 za kradzież dostał 9 miesięcy więzienia. Potem pod nazwiskiem Zandera popełnił fałszerstwo dokumentów pocztowych, za co w 1867 skazano go na 10 lat ciężkiego więzienia. Drugą karę 15 lat kryminału odsiedział, jak już wspomnieliśmy, w Rawiczu. Jak wygląda rozgłośny ten „fałszywy kapitan“ z Koepenick — widzą Czytelnicy na załączonej fotografii, na którą publiczność europejska wyczekiwała istotnie z ciekawością.

Dajemy aż dwie jego podobizny wierne, jedną w ubraniu cywilnem, w jakiem chodził zazwyczaj w domu ostatniemi czasy, oraz drugą, w przebraniu kapitańskiem, które kazała mu przywdziać policya, gdy dostawszy go nareszcie, chciała Voigta skonfrontować z burmistrzem z Koepenick.



Wraca bohater po 2 wiekach: Malowany przez Kupieckiego współczesny portret Franciszka II Rakoczego, którego popioły po 2 wiekach sprowadzono teraz do Węgier.



50 lat w drukarni: Dyrektor drukarni Związkowej w Krakowie, Andrzej Szyjewski, który świeżo obchodził jubileusz półwiekowej pracy w zawodzie drukarskim.

50 lat w drukarni.

Rzadki jubileusz obchodzili świeżo drukarze krakowscy. Jeden z ich kolegów ukończył w tych dniach pięćdziesiąt lat pracy w swoim zawodzie. Jest to p. Andrzej Szyjewski, dyrektor drukarni Związkowej w Krakowie, którego portret dziś z tej okazyi zamieszczamy. Jubilat przed laty był zarządcą drukarni Korneckiego, a od chwili powstania drukarni Związkowej, kieruje bez przerwy tem przedsiębiorstwem udziałowem, do którego należą wyłącznie pracownicy drukarscy. Około tych zakładów, mających swą wybitną kartę w dziejach typografii krakowskiej, położył p. Szyjewski znaczne zasługi, a nadto jest on jednym z twórców Towarzystwa emerytowanych drukarzy „Siła“. To też w uznaniu jego zasług koledzy zawodowi postanowili uczcić jubilata w sposób odpowiedni. Przed tygodniam zebrało się więc w salach „starego teatru“ grono właścicieli i dyrektorów drukarń krakowskich, w których imieniu p. Wacław Anczyc wręczył jubilatowi dar honorowy w postaci tysiąca koron. W przemówieniu swojem podniósł zasługi tego weterana cichej a pożytecznej pracy, co również uczynili w toastach inni jego koledzy przy uczcie. Jubilat dziękując ze wzruszeniem za dowody uznania, zawiadomił, że odebraną w darze honorowym kwotę rozdzielił w całości pomiędzy następujące stowarzyszenia i instytucye publiczne: Tow. „Siła“, Stow. drukarzy, „Ognisko“, Tow. Oświaty ludowej, Tow. Szkoły ludowej, Arcybractwo miłosierdzia, szpital Bonifratrów, zakład ks. Siemaszki, Tow. opieki nad weteranami z r. 1863. Z okazyi jubileuszu nadeszły do p. Szyjewskiego liczne depesze i listy od kolegów z całej Polski. Ogół drukarzy krakowskich uczcił osobno dyrektora Szyjewskiego w niedzielę i wręczył mu odpowiedni adres.

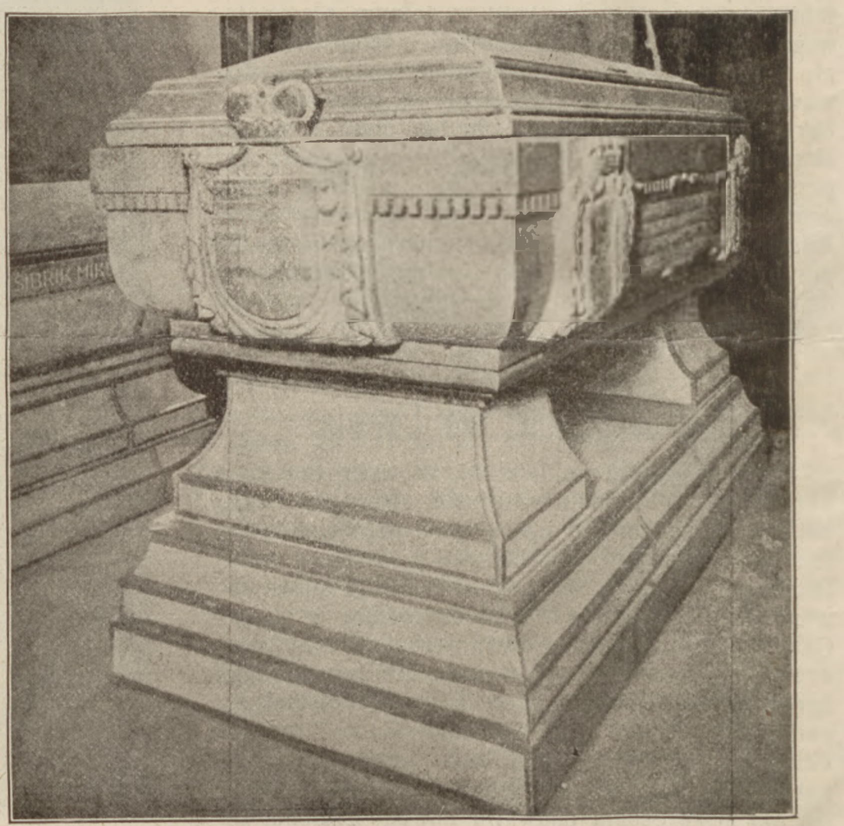
Od Redakcyi.

Po ukończeniu drukujących się obecnie w „Now. Ill.“ powieści pt: „Późna zemsta“ oraz „Tragiczna zbrodnia“, zaczniemy w drugiej połowie bieżącego kwartału druk dwóch nowych powieści oryginalnych Artura Gruszeckiego i Ludwika Stasiaka.

Znany naszym Czytelnikom autor „Bojowników“, Artur Gruszecki przygotowuje dla naszego pisma, jak już donosiliśmy, sensacyjną powieść współczesną na tle rozgłośnych pogromów w Białymstoku, Siedlcach i miastach rosyjskich.

Znany autor Ludwik Stasiak napisał również umyślnie dla „Now. Ill.“ powieść fantastyczną pt.: „Przeklęta ruina“.

Autor wprowadza w niej Czytelnika w świat zaklętych księżniczek i błędnych rycerzy, w świat zapadłych zamków i zaczarowanych skarbów, powieść zaś swoją snuje wyłącznie na temat klechd, jakie z zamczyskami naszemi związała wyobraźnia polskiego ludu.



Wraca bohater po dwóch wiekach: Grobowiec w Koszycach, w którym po 195 latach złożyli Węgrzy prochy Rakoczego, zmarłego na wygnaniu w Stambule.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

6 Ciąg dalszy.

John Ferrier nie dawał odpowiedzi, oddychał tylko ciężko.

— Święta rada czterech postanowiła przy pomocy tej sprawy właśnie, wybadać twą wiarę — mówi dalej prorok — dziewczyna jest młoda, nie oddamy jej zatem starcowi, co więcej — zostawimy jej wybór. My najstarsi, jesteśmy we wszystko zaopatrzeni, ale obowiązkiem naszym starać się jednak i o naszych podwładnych.

Stangerson i Drebber mają synów a każdy z nich z chęcią przyjmie twą córkę. Niech się zatem namyśli, którego z nich ma zamiar wybrać. Obydwaj młodzi, bogaci i prawdziwi wyznawcy naszej wiary. Cóż mi na to odpowiesz Ferrierze?

Ferrier namyślał się długo w milczeniu.

— Pozostawcie mi czas do namysłu — odpowiedział. — Córka moja tak młoda jeszcze, zaledwie zdolna do małżeństwa.

— Miesiąc zostawiamy ci do namysłu — odpowiedział Young, wstając z siedzenia.

Skoro termin minie, czekam twej odpowiedzi.

W drzwiach obrócił się raz jeszcze. Oblicze jego płonęło, oczy błyszczały nienawiścią.

— Gdyby kości twoje i twej córki walały się teraz po pustyni, byłoby to stokroć lepiej dla ciebie i dla Lucy, Ferriere. Nie ważcie się zatem szydzić sobie niebacznie z rozkazu rady czterech.

Wzniósł groźnie rękę do góry, a gdy opuścił mieszkanie Ferriera, słyszał starzec, jak piasek skrzypiał pod nogami proroka.

Ferrier dumał jeszcze głęboko, gdy ktoś położył rękę na jego ramieniu. Obejrzał się za siebie i ujrzał Lucy. Blada, zmartwiona jej twarzyczka była najlepszym dowodem, że słyszała jego rozmowę z prorokiem.

— Nie mogłam inaczej — szeptała, tuląc się z trwogą do ojca — wszystko słyszałam dokładnie — głos proroka rozlegał się po całem domostwie. Ojcze! ojcze — co teraz poczniemy?

— Nie bój się dziecię — odparł jej Ferrier pieszczotliwie, głaszcząc szeroką dłonią jej cudne, jasne włosy. Poszukamy schronienia gdzieś indziej. Ty kochasz przecież twego narzeczonego? Nieprawda Lucy?

Zapłakała jeno gorzko, ściskając ojcu rękę.

— Pomyślałem tak zaraz. Taki zgrabny chłopiec i przytem prawowity chrześcijanin — tutaj nie znajdziesz takiego, choć wielu modli się i słucha proroka. Jutro jedzie poselstwo do Nevady, postaram się zatem donieść mu o naszem okropnem położeniu. Jeśli nie przyjedzie natychmiast, szybko jak wicher, pomylłem się co do jego wartości.

Lucy uśmiechnęła się wśród łez.

— Gdy tylko tu będzie, będzie nas umiał obronić, znajdzie jakąś radę. Lecz boję się tylko o ciebie ojczulku. Opowiadają przecież o strasznym losie tych, co śmią sprzeciwić się rozkazom proroka.

— Nie sprzeciwiliśmy się przecież — odpowiedział starzec. Mamy cały miesiąc czasu. a nim wyznaczony termin przeminie, nie zobaczy nas więcej ukochana dolina.

— Cóż się stanie z twą posiadłością?

— Spieniężymy, co się tylko da. reszta zostanie. Prawdę powiedziawszy Lucy, noszę się od dawna z tą myślą. Nie umiem zginać się przed nikim, jak ci ludzie przed ich przeklętym prorokiem. Jako wolny człowiek na świat przyszedłem, inaczej nie mogę postępować — może już jestem za stary wreszcie. Niech się ten stary łajdak strzeże najść mnie raz jeszcze, gdyż wpakuję mu w serce cały ładunek śrutu, zanim się oglądnie.

— Oni nas nie zechcą puścić — dorzuciła Lucy trwożliwie.

— O to sam się postaram, gdy Jefferson przybędzie. Uspokój się teraz me serce, nie płacz tak smutnie, bo będzie mi robił wymówki, gdy cię zobaczy. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, nie potrzebujemy obawiać się niczego.

John Ferrier wymawiał te słowa z ufnością, lecz nie mogło to ujść baczności Lucy, że z daleko większą ostrożnością niż dotąd zamykał i zaryglowywał drzwi na noc, że wreszcie strzelbę, która dotąd na ścianie nieczynna wisiała, oczyścił starannie i naładował na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ XI.

Ucieczka na śmierć i życie.

Natychmiast po rozmowie z prorokiem, udał się John Ferrier do miasta, wyszukał znajomego, który miał zamiar jechać w góry Nerada, i polecił mu przekazać ważną wiadomość Jeffersonowi Hope. Pisał młodemu człowiekowi o wszystkiem, dobitnemi słowy przedstawił okropne położenie, w jakiem się z Lucy znajdują i żądał natychmiastowego powrotu.

Skoro załatwił wszystko po myśli, szedł z lżejszem sercem do domu.

Gdy stanął przed swą posiadłością, ujrzał z niemałem zdziwieniem parę koni, przywiązanych przy bramie.

W mieszkaniu napotkał dwóch młodych ludzi którzy czuli się tu jak gdyby u siebie w domu.

Jeden z nich, o bladej, wychudłej twarzy, rozparł się wygodnie na fotelu, złożywszy nogi na pobliskim piecu.

Drugi o wstrętnem gburowatem obliczu i karku byka, siedział na oknie i włożywszy ręce do kieszeni, gwizdał przez zęby jakąś melodyę.

Obydwaj skinęli łaskawie Ferrierowi, a młody człowiek, siedzący na fotelu, rozpoczął pierwszy rozmowę.

— Zdaje się, nie znasz nas pan jeszcze — odpowiedział po chwili. — Oto syn najstarszego z mormonów Drebbera, ja zaś jestem Józef Stangerson; prowadziłem orszak i was też znalazłem na puszczy, gdy Bóg was kazał z naszym ludem połączyć.

— Tak, jak to kazał wszystkie narody połączyć — zawołał Drebber chrapliwym głosem. — Młyn Jego mieli powoli, ale pewnie!

— Przychodzimy za radą naszych ojców, by starać się o rękę waszej córki — opowiadał dalej Stangerson — który z nas bardziej do gustu przypadnie, będzie jej mężem. Ponieważ mam tylko cztery żony, podczas gdy brat Drebber ma ich aż siedm, sądzę więc, że do Lucy mam większe prawo.

— Broń Boże! Bracie Stangersonie — przerwał mu Drebber, nie chodzi o to, ile ma się żon, ale o to, ile ich można utrzymać. Ojciec mój oddał mi teraz fabryki, jestem zatem bogatszy od ciebie.

— Ja mam znów ładniejsze widoki. Gdy Pan Bóg powoła do swojej chwały mego ojca, dostanę garbarnię i fabrykę skór. Prócz tego jestem starszy od ciebie, i stanowisko moje w kościele znacznie większe od twego.

— Zatem niech sama dziewczyna między nami rozstrzyga — odpowiedział młody Drebber, przeglądając się z zadowoleniem w lustrze — zostawimy jej wybór.

Podczas tej rozmowy stał John Ferrier przy drzwiach pieniąc się ze złości. Palce drżały mu, już chciał spuścić bicz swój na grzbiety zuchwałych smarkaczy, ale pohamował się w końcu i rzekł spokojnie, przystępując do nich:

— Słyszycie! Jeśli córka moja was zawoła, każę wam przyjść, lecz do tej chwili niech was więcej nie oglądam.

Młodzi mormoni patrzyli na niego z ogromnem zdziwieniem. W ich oczach staranie się o rękę jego córki było dowodem najwyższej czci, jaką mogli okazać temu starcowi.

— Są dwa wyjścia z tego pokoju — zawołał Ferrier, uniesiony nową falą gniewu — przez drzwi i przez okno. Wybór wam pozostawiam.

Twarz jego była tak surowa i groźna, suche jego ręce zdradzały taką siłę. że obaj młodzieńcy czempręd
zej odskoczyli od niego, zabierając się z powrotem do domu. Starzec towarzyszył im aż do bramy.

— Jeśli pogodzicie się ze sobą i wybierzecie jednego z was, przyjdźcie mi to oznajmić — wołał za nimi szyderczo.

— Odpokutujesz za to — zawołał Stangerson, drżąc z oburzenia zadrwiłeś sobie z proroka i rady czterech — pożałujesz ty tego starcze aż do śmierci.

— Poczujesz rękę Pana — dodał Drebber. — Stanie po naszej stronie i ciebie pobije.

— Jeśli chodzi o pobicie, możemy się zaraz zmierzyć — zawołał za nimi Ferrier groźnie.

Chciał porwać za flintę ze ściany, lecz Lucy stanęła w poprzek i nie dopuściła do tego.

Zanim wyzwolił się z jej objęć, zatętniały kopyta koni i Stangerson wraz z Drebberem wyjechali z posiadłości Ferriera.

— Łajdaki! — zawołał rozgniewany Ferrier — stokroć wolałbym cię ujrzeć w grobie me serce, niż oddać cię za żonę tym łapserdekom łajdackim.

Była w istocie najstosowniejsza pora, aby pomódz w tem okropnem położeniu Ferrierowi i Lucy. Od czasu założenia osad podobny przykład nieposłuszeństwa zaszedł po raz pierwszy dopiero; jeśli małe przekroczenia karano tak okrutnie, jakaż kara spaść musiała na niegodnego buntownika. Ferrier wiedział, że nie obroni go ani stanowisko ani majątek.

Znikali bez śladu ludzie, równie jak on zamożni, którzy piastowali wysokie urzędy, znikali bez śladu, bez jęku, a majątek konfiskował kościół.

Dzielny starzec naraził się śmiało na niebezpieczeństwo, ale ponure przeznaczenie, co zda się, już się spełnić miało, odbierało mu nieraz odwagę, przerażając go często do głębi. Krył się wprawdzie z tem starannie przed Lucy, lecz ta znała dokładnie powody tego strasznego przerażenia.

Po tem, co zaszło, spodziewali się na pewne jakiegoś napomnienia lub skarcenia ze strony Younga.

Poselstwo zjawiło się niebawem i to w sposób wcale ciekawy.

Gdy zbudził się dnia następnego, ujrzał na kołdrze tuż nad piersiami małą kartkę, na której wypisano dokładnie następujące słowa:

„Dwadzieścia dziewięć dni przeznaczamy na poprawę — potem“...

Najbardziej zastanowił go i przeraził ten myślnik po wyznaczonym terminie.

Daremnie łamał sobie głowę, w jaki sposób mogła znaleźć się kartka w jego pokoju, skoro służba śpi w bocznych komnatach, a on własnoręcznie zamyka wszystkie drzwi.

Papier spalił i słowem nie wspomniał nawet córce o tajemniczym wypadku.

Dwadzieścia dziewięć dni, to pewnie reszta miesiąca, który Young obiecał poczekać.

Cóż pomoże gniew lub potężna siła przeciw nieprzyjacielowi, który rozporządza tak tajemniczą potęgą?

Ręka, która pisała tę kartkę, mogła go równie tajemniczo pchnąć w serce sztyletem, i niktby nawet nie posłyszał o tem.

Następnego dnia był jeszcze bardziej wstrząśnięty.

Siedzieli właśnie przy śniadaniu, gdy Lucy wydała okrzyk przerażenia, spoglądając ku sufitowi.

Na suficie wyraźnie napisano dwadzieścia ośm.

Córka jego nie mogła sobie tego wytłómaczyć, a on zdawał się o to nie troszczyć.

Całą noc stał Ferrier z naładowaną strzelbą na warcie. Panowała głucha cisza, nikogo nie widział, a gdy rano spojrzał na drzwi wchodowe, ujrzał znów tajemnicze cyfry: dwadzieścia siedm.

Tak mijał dzień po dniu, a każdy poranek przynosił mu nową niespodziankę nowe dowody, że nieprzyjaciele jego pamiętają o nim dobrze

Tajemnicze cyfry znajdował bądź na suficie, na ścianach, już to spotykał kartki, nalepiane na jego domostwie; gdzie rzucił okiem, znajdował ślady znienawidzonych a potężnych wrogów.

Pomimo nadludzkiej czujności nie mógł Ferrier zbadać, skąd pochodzą owe tajemnicze kartki z ostrzeżeniami, i ilekroć ujrzał nową cyfrę, przejmowało go jakieś nieprzyjemne drżenie.

Wyglądał niby osaczona zwierzyna, niepokój straszny pożerał go, a kto umiał czytać w jego twarzy, mógł poznać męki, jakie znosił ten dzielny starzec. Lecz myśl, że młody Jefferson przybędzie z pomocą, trzymała go jeszcze na nogach, wlewając nową otuchę w jego serce. Z 20 powstało 15, z 15 10, a nadzieja zdawała się zawodzić — pomoc nie nadchodziła.

Cyfry zmniejszały się coraz bardziej, Jefferson czekał z utęsknieniem. Skoro tylko posłyszał na ulicy tentent koni, spieszył natychmiast ku bramie myśląc, że pomoc nadchodzi. Gdy pozostały jednak tylko trzy dni zwłoki, stracił nadzieję i odwagę.

Nieobznajomiony dokładnie ze ścieżkami w górach, otaczających dolinę, nie mógł, zdany sam sobie myśleć o ucieczce. Wszystkie znane ścieżki obstawione były ludźmi, a każdy podróżny musiał wykazać się pozwoleniem, wystawionem przez Wysoką Radę. Gdzieby się zatem zwrócił, aby uciec przed losem okropnym, jaki mu gotowała Rada Czterech, wszędzie czekała go niechybna śmierć. A jednak nie wahał się ani na chwilę raczej śmierć ponieść, niż sprzedać swą jedynaczkę w niewolę mormonów.

Pozostawszy sam jeden, daremnie starał się wynaleźć sposób wyjścia — ucieczka nie udałaby się z pewnością. Wczas rano ujrzał 2 na ścianie, jutro zatem mijał już wyznaczony termin. Co potem będzie? Co stanie się z Lucy, z jego biedną córką? Jaki los ją spotka, gdy jego zabraknie? Czuł się w jakiejś ogromnej sieci, zwężającej się z każdą godziną coraz bardziej. Nie mo-

gąc znaleść żadnej drogi, zwątpił wreszcie o wszystkiem, a kiedy rzucił okiem w przyszłość, oblicze jego skurczyło się okropnym bólem i ten starzec począł płakać jak dziecko.

Lecz co to? Na tle ciszy nocnej posłyszał głos jakiś, coraz bardziej zbliżający się do niego. Zdaje się, pochodził od strony bramy. Bez najmniejszego szelestu pełzał Ferrier przez korytarz, nadsłuchując ciekawie.

Ktoś pukał ostrożnie do drzwi. Czy to może posłaniec nocny tajemniczego sądu przybył, aby dokonać strasznej zbrodni lub też oznajmić, że dzień ostatni już mija.

W okropnej niepewności trząsł się niby we febrze, jego siła woli zmniejszała się z każdą minutą. Dłużej nie zniesie tych znaków okropnych, w porównaniu z którymi śmierć jest tylko wybawicielką. Szybko odsunął rygiel i otworzył drzwi.

Na polu panowała ogromna cisza. Gwiazdy połyskiwały na jasnem, pogodnem niebie i ani w małym ogródku otaczający dom zamieszkany, ani na ulicy od strony bramy, nie można było ujrzeć nikogo. Gdy spojrzał jednak przypadkowo na ziemię, ujrzał przerażony tuż pod sobą człowieka, który leżał na ziemi, rozpostarłszy szeroko nogi i ręce.

Widok ten tak go przeraził, że oparł się o ścianę i musiał gwałtem zdusić krzyk, jaki już miał na ustach. Pierwszą jego myślą było, że jest to jakiś ciężko raniony człowiek, może umierający właśnie Lecz oto postać ożyła i szybko i zgrabnie jak wąż wsunęła się nagle do korytarza.

Skoro wpadł tylko do sieni, poskoczył szybko w górę, zaryglował drzwi i przed zdziwionym i przerażonym do głębi farmerem, stanął Jefferson Hope we własnej postaci.

— Wielki Boże — to ty jesteś tutaj? — odezwał się wreszcie starzec. Dlaczego pełzarz jak wąż? Nabawiłeś mię strachu niemało!

— Daj mi wpierw jeść — zawołał Hope głosem ochrypłym — od 48 godzin nie miałem nic w ustach!

Chciwie pochwycił za chleb i mięso, które pozostało z kolacyi na stole.

— Cóż słychać z Lucy? Zdrowa? — było jego pierwsze pytanie, skoro posilił się wkończu.

— Tak! Nie zna jednak niebezpieczeństwa, jakie jej zagraża.

— To dobrze! Dom ze wszystkich stron obstawiony ludźmi, mogłem przypełzać tylko niepostrzeżenie. Bacznie zważają na wszystko, lecz takich myśliwych jak ja, z pewnością nie złapią.

— Gdybyś ty tylko był zagrożony ojcze — mówił dalej Hope — byłbym się pewnie namyślił, czy pełzać tutaj do do domu, w takiem niebezpieczeństwie. Dla Lucy głównie tutaj przyszedłem i raczej zginę, nim ją spotka jakaś nieprzyjemność.

— Cóż teraz poczniesz? trzeba szybko działać! Jutro wasz dzień ostatni. Jeśli nie uciekniemy tej nocy jeszcze, jesteśmy zgubieni. W rozpadlinie górskiej ukryłem dwa konie i jednego muła. Wiele masz przy sobie pieniędzy?

Dwa tysiące dolarów w złocie, pięć tysięcy w papierach.

— Wystarczy. Dołożę drugie tyle. Przedostaniemy się przez góry do Carson City. Lucy niech będzie natychmiast gotowa. Dobrze, że służba nie śpi w domu.

Gdy Ferrier poszedł Lucy obudzić, namyślał się Jefferson Hope nad przygotowaniami do ucieczki. Co znalazł z materyałów spożywczych, spakował w mały tłumoczek, do dzbanka nalał wody, gdyż wiedział, że w drodze parę tylko źródeł napotkają. Właśnie powracał farmer z Lucy, gotowi do drogi. Pozdrowili się serdecznemi słowy, lecz krótko, bo każda chwila była teraz droga i nie było czasu na długie rozważania.

— Musimy ruszać natychmiast — powiedział Jefferson cicho a dobitnie. Musimy na wszystko być przygotowani. Obydwa wyjścia, przednie i tylne pilnie strzeżone, przy nadzwyczajnej ostrożności jednak możemy wyjść jednem z bocznych okien, wychodzących na pola, a skoro będziemy na ulicy, już wszystko pójdzie dobrze i za pół godziny dopadniemy szczeliny, gdzie konie pozostały. Gdy będzie dniało, musimy być już daleko w górach.

— Jeśli nas zatrzymają?

Hope wskazał milcząco na lufę rewolweru, który nosił przy sobie. Pewno ich będzie za dużo, spodziewam się tedy, że dwóch lub trzech będę musiał wyprawić rychlej niżby pragnęli, na tamten świat — dodał, uśmiechając się złośliwie.

Światła pogasili w komnatach, Ferrier zaś powiódł okiem po raz ostatni po łąkach i polach, które musiał opuścić na zawsze. Na podobną ofiarę zdecydowany był dawno, bo myśl o szczęściu jego Lucy odpędzała masę smutku daleko od niego. W okolicy było tak pusto i cicho, drzewa szumiały tylko, zboże kołysało się majestatycznie, że trudno było przypuścić, iż tam na polu czyhają mordercy. Blada, zdecydowana na wszystko twarz młodego myśliwca, zdradzała aż nazbyt widocznie, że po drodze patrzał na wiele rzeczy, o czem teraz nie mógł nawet mówić.



Lecz oto postać ożyła i szybko i zgrabnie jak wąż wsunęła się nagle do korytarza.

Ferrier niósł worek z pieniądzmi i banknotami, Jefferson zapasy żywności i dzbanek z wodą. Lucy spakowała znów co miała najmilszego w mały tłumoczek.

Cicho i ostrożnie otworzyli okno i czekali, aż chmura, która właśnie nadciągała, zaciemni okolicę, następnie przeszli ostrożnie do bocznego ogrodu. Z zapartym oddechem, pełzając i skradając się zwolna, doszli szczęśliwie do parkanu, pod ochroną którego spieszyli naprzód, aż spostrzegli lukę w parkanie, przez którą już mogli się wydostać na pole. Właśnie znajdowali się przy tym otworze gdy Jefferson padł nagle plackiem na ziemię, ciągnąc za sobą starca i Lucy. Wyszkolone ucho myśliwca posłyszało jakiś szelest zdradliwy. Zaledwie ukryli się przed oczyma prześladowców, gdy o parę kroków posłyszeli jakieś smutne wołanie. Wkrótce potem ujrzeli cień jakiegoś człowieka, który przeszedł tuż obok nich, w parę sekund zaś potem wynurzyła się stamtąd druga postać.

— Jutro o północy, gdy puszczyk trzykrotnie zawoła — odpowiedział głos pierwszy tonem rozkazującym.

— Dobrze — odparł głos drugi — czy mam oznajmić o tem bratu Drebberowi?

— Daj mu hasło, niech je poda dalej. *Dziesięciu i siedmiu.*

— *Siedmiu i pięciu* — odparł głos inny i obydwaj rozeszli się w przeciwnym kierunku. Ich słowa ostatnie były prawdopodobnie odpowiedzią na hasło. Zaledwie przebrzmiały ich kroki, powstał szybko Jefferson ze swymi towarzyszami i biedz poczęli po polach z całych sił.

— Naprzód, naprzód — dodawał od czasu do czasu otuchy — już minęliśmy warty, największy pośpiech jest w stanie tylko uratować nas wszystkich.

Gdy siły Lucy odmówiły posłuszeństwa, pomagał jej, podpierając ją i niosąc na rękach. Gdy przybyli na gościniec, szli wciąż naprzód, a parę kroków przed miastem skierowali za przewodnikiem swe kroki na małą ścieżkę, wiodącą z góry. Owe ciemne, poszarpane szczyty skał wynurzyły się ku nim w ciemności, a tuż pod ich stopami rozwarła się przepaść, gdzie Jefferson ukrył konie. Kierowany wrodzonym instynktem, znalazł drogę między zwaliskami skalnemi a wyschniętem łożyskiem górskiego strumyka, i wydostali się wreszcie na małą polankę, gdzie ujrzeli przed sobą przywiązane konie i muła. Lucy usiadła na mule, Ferrier z pieniądzmi i z banknotami ulokował się na jednem koniu, podczas gdy Jefferson prowadził drugiego konia po niebezpiecznych ścieżkach. Scieżka, prowadząca przez dziką gęstwinę, była niekiedy tak wązka, że jedno za drugiem musiało kroczyć, narażając się ustawicznie na śmierć na dnie przepaści.

Pomimo szalonych trudów, jakie napotykali zaraz na początku podróży, panowała u nich wesołość, gdyż każdy krok, jaki czynili, wyzwalał ich coraz bardziej z mocy okrutnego tyrana, przed gwałtem którego musieli wszystko porzucić.

Lecz niebawem poznali dowodnie, że znajdują się wciąż jeszcze w mocy jego. Nie przeszli jeszcze najbardziej dzikiej i ponurej części, gdy Lucy wydała okrzyk zgrozy, spojrzawszy ku górnej skale. Na wystającym cyplu, dominującym nad ścieżką, stał samotny wartownik. Spostrzegł równocześnie jeźdźców, a pytanie: „Co za jedni?“ — rozległo się nagle wśród nocnej ciszy.

— Podróżujemy do Kanady — zawołał w odpowiedzi Jefferson Hope, zdejmując flintę.

— Za czyjem pozwoleniem?

— Rady czterech—odparł głośno Jefferson.

Podczas pobytu u mormonów słyszał o świętej radzie, jako głowie naczelnej kościoła.

— Dziesięciu i siedmiu — zawołał wartownik.

— Siedmiu i pięciu — zakrzyknął Jefferson, przypominając sobie błyskawicznie hasło, które przypadkowo w ogrodzie usłyszał.

— Wolna droga — Bóg z wami krzyknął strażnik ze skały.

Wkrótce potem mieli już szerszą drogę i konie popędziły szybko. Jeszcze raz obejrzeli się za osamotnionym wartownikiem, który stał oparty o skałę, trzymając flintę przy nogach. Odetchnęli swobodniej, gdyż właśnie minęli ostatnią wartę mormonów, a wolność poczęła się do nich uśmiechać.

ROZDZIAŁ XII.

Anioł śmierci.

Całą noc wędrowali nasi podróżni po skalistej i uciążliwej drodze. Jeśli zeszli choć troszkę z właściwej drogi, wnet musiał Jefferson znaleść drogę właściwą, znając aż nazbyt dobrze te góry. Z brzaskiem dnia ujrzeli przed oczyma dziką ale wspaniałą okolicę. Naokoło nic, tylko skały i skały, szczyty śniegiem pokryte, sięgające niebios. Wyżej troszkę rosły drzewa szpilkowe, które najbliższy wicher skalny mógł zwalić na ich głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bursa w zamku królewskim.

Szereg środków prowadzących do odrodzenia narodowego, a podjętych z ramienia Tow. Szkoły Ludowej, został ostatnimi czasy wzmocniony nowym kierunkiem pracy oświatowej, jakim jest zakładanie burs ludowych.



Bursa w zamku królewskim: Dr. Jan Opieński, prezes Koła żółkiewskiego T. S. L., zasłużony około założenia nowej bursy im. Głowackiego w Żółkwi.



Bursa w zamku królewskim: Grupa wychowanków nowej bursy ludowej T. S. L. założonej w Żółkwi w murach starego zamku królewskiego pośrodku gospodarz bursy p. Oryszczyn.

Z inicyatywy żółkiewskiego Koła T. S. L. powstała właśnie z początkiem bieżącego roku szkolnego bursa ludowa imienia Bartosza Głowackiego w mieście Żółkwi.

Bursa ta, dająca utrzymanie na razie sześciu chłopcom, synom włościan w wieku lat 10 do 12, mieści się w dawnym zamku królewskim, a lokal na bursę ofiarowała bezinteresownie gmina miasta Żółkwi. Uroczyste otwarcie odbyło się dnia 27 października przy udziale inteligencyi, nauczycieli i ludu wiejskiego. Po odpowiednim przemówieniu prezesa Koła miejscowego p dra Opieńskiego, dokonał poświęcenia lokalu ks. Szymański. Następnie bursacy odśpiewali pieśni narodowe, przeplatając je deklamacyą poezyj Mickiewicza, Krasińskiego i Romanowskiego. W końcu burmistrz p. Skrybal dał wyraz zapewnieniu, iż bursa im. Głowackiego, dla której osobiście jest bardzo życzliwie usposobiony, może liczyć na dalszą opiekę i pomoc grodu żółkiewskiego.

Koszta założenia i utrzymania nowej placówki oświatowej pokryły wydatnymi datkami instytucye publiczne jak: gmina miasta Żółkwi, Towarzystwo „Sokół", Kasa zaliczkowa, niemniej jednak i ofiarodawcy prywatni jak pp. dr. Szumlański, marszałek Starczyński i inni zasilili znaczniejszemi kwotami szczupłe fundusze bursy.

Kurs pisarzy gminnych.

Staraniem i kosztem Wydziału krajowego odbywa się we Lwowie obecnie sześciomiesięczny kurs pisarzy gminnych. Celem tych kursów, urządzanych od szeregu lat w myśl uchwały sejmowej, jest wykształcenie zastępu zdolnych i obznajomionych ze swemi zadaniami pisarzy gminnych. Kierownikiem kursu tegorocznego, jak w latach poprzednich, jest sekretarz Wydziału krajowego p. Brąglewicz.

W numerze dzisiejszym podajemy grupę Polaków, uczęszczających na tegoroczny kurs pisarzy. Ogółem liczba uczniów jest znacznie większa, bo bierze w nim udział nadto około 30 Rusinów.

Próby latania w powietrzu.

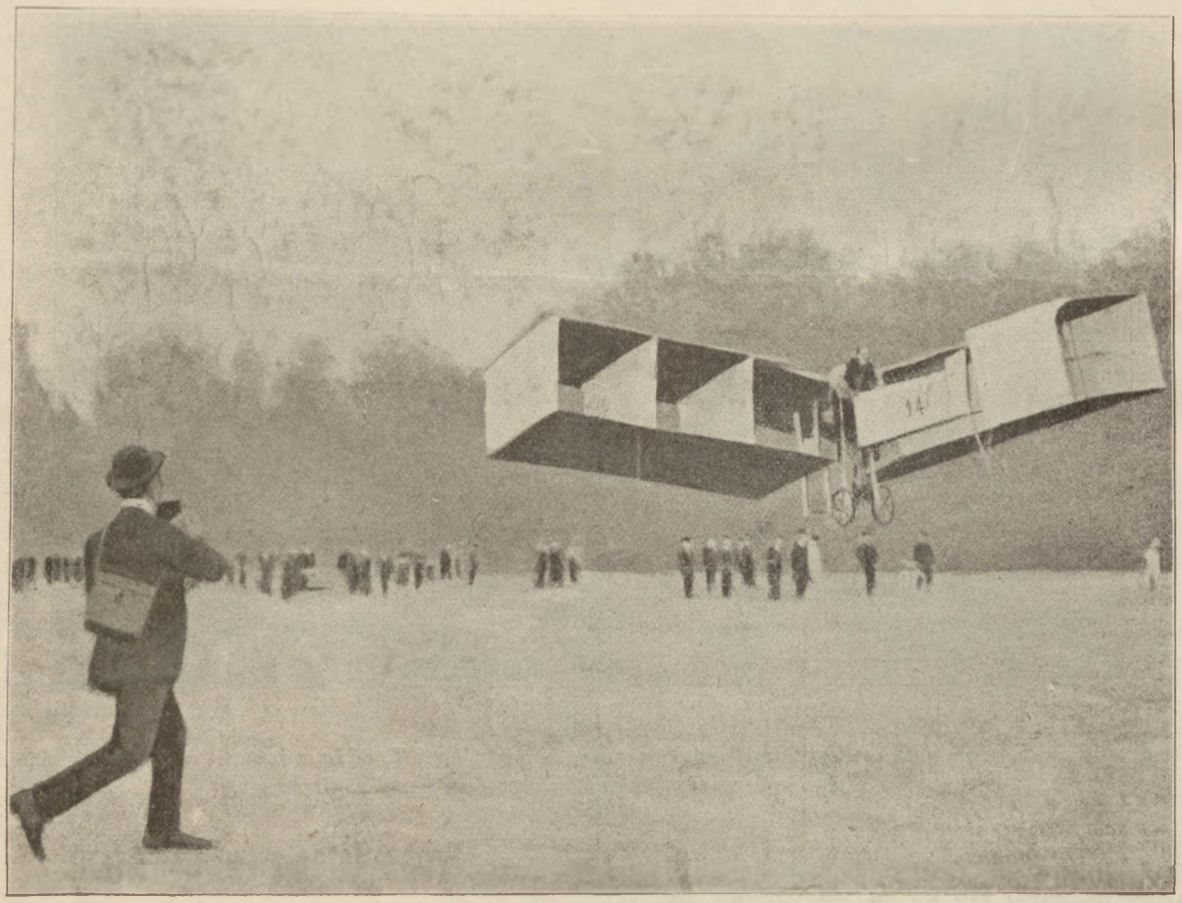
Dobrze się ktoś wyraził, że „przyszłość sforsować" postawił sobie za zadanie pan Santos Dumont, który od kilku lat zajmuje Paryżan swojemi próbami latania po powietrzu. Młody bogacz robi w gruncie rzeczy niemal to samo, co wielu jemu podobnych, tych, którzy w sporcie wyścigowym lub automobilowym narażają się na skręcenie karku i utratę pieniędzy. Ale tu jest jedna rzecz ważna, że choćby Santos-Dumont nie rozwiązał sam jeszcze problematu latania dowolnego po powietrzu, to nawet swemi błędami przysłuży się ogółowi, bo przyszłym usiłowaniom te błędy



Fot. dla „Now. Illustr." M. Münz we Lwowie.

Kurs pisarzy gminnych: Grupa polskich uczestników kursu pisarzy gminnych, urządzonego przez Wydział krajowy we Lwowie.

będą służyły za tablice ostrzegawcze, w którym kierunku nie należy szukać rozwiązania. Właściwie usiłowania Santos Dumonta są bardzo jeszcze dalekie od tego rozwiązania, chociaż w tych dniach zdobył on drugą nagrodę aeronautyczną. Pierwszą nagrodę w kwocie 100 000 franków dostał on za wzlot balonem do kierowania; druga przypadła mu teraz za maszynę do latania, mogącą się wznosić ziemię i przelecieć w powietrzu około 60 metrów. Wprawdzie spadając, porozbijał się bardzo dotkliwie, ale wobec tego, że sam aeronauta wyszedł cało, ogłoszono jego zwycięstwo. Na fotografiach wzlotu wygląda Santos Dumont jak mucha, utkwiona między całym systemem jakby ogromnych pudełek tekturowych, które jego aeroplanowi zastępują skrzydła. Wygląda to niepraktycznie i nie-



Próby latania w powietrzu: Zwycięski wzlot aeroplanu Santos-Dumonta w Paryżu, który może się wznosić mocą swych skrzydeł, bez dźwigania maszyny przez balon gazem wypełniony.

w powietrzu samą mocą swych skrzydeł, bez dźwigania jej przez balon, napełniony lżejszym od powietrza gazem. W rzeczywistości nowy wzlot aeroplanu Santos-Dumonta, z którego dajemy dzisiaj fotografię, był bardzo prymitywny, zdaniem znawców. Po dwóch nieudałych usiłowaniach wzniesienia się, zakończonych popsuciem się śruby powietrznej, którą trzeba było na poczekaniu naprawić, zdołał aeroplan wzbić się na dwa metry nad zgrabnie, ale któż — dajmy na to — z pierwszej lokomotywy Stefansona mógł był sobie wyobrazić maszyny naszych dzisiejszych pociągów błyskawicznych.

Ksiądz adwokatem.

W Pałacu sprawiedliwości w Paryżu niemałą sensacyę wzbudziło przed tygodniem pojawienie się księdza w todze adwokackiej na sutannie. Przed pierwszą Izbą trybunału apelacyjnego duchowny ten złożył przysięgę jako adwokat. Jest to ksiądz świecki z dyecezyi w Angers, nazwiskiem Franciszek Lebrun, nie należący do żadnej parafii, a poświęcający się dotychczas zawodowi profesorskiemu. Świeżo złożył on licencyat prawa na fakultecie paryskim. Miał zamiar wstąpić w szeregi obrońców sądowych, nie porzucając bynajmniej sukienki duchowej i dlatego pierwszą formalność zawodu adwokackiego odbył ks. Lebrun, założywszy jedynie togę na sutannę. Przełożony jego biskup sądzi zaś, że to się sprzeciwia regułom prawa kanonicznego, wobec tego nowy ksiądz-adwokat nie może jeszcze wnosić skarg sądowych i oczekuje decyzyi wyższej władzy kościelnej.



Ksiądz adwokatem: Duchowny francuski, ksiądz Lebrun, który przed tygodniem złożył w pałacu sprawiedliwości w Paryżu przepisaną przysięgę jako adwokat.



Fot. J. Berger z Przemyśla.

Korpus sanitarno-ratunkowy: W polu za stacyą Bakuńczyce, ćwiczenia korpusu sanitarno-ratunkowego, istniejącego na stacyi kolejowej w Przemyślu.

Korpus sanitarno-ratunkowy.

Przed kilku dniami zaalarmowano na stacyi kolejowej w Przemyślu istniejący korpus sanitarno-ratunkowy. Wyruszył on już w kwadrans później do Bakończyc, a składa się z maszyny, wozu służbowego, dwóch wozów osobowych i jednego tak zwanego sanitarnego, urządzonego wewnątrz według wymogów najnowszych, wreszcie z wozu ratunkowego z materyałami. Z takim taborem wyruszyli jednocześnie lekarze kolejowi, kierownik korpusu i wyćwiczona w tym celu na sanitaryuszów służba kolejowa, mając na czele pp. radcę Stelcowa, zastępcę dyrektora kolei państwowych we Lwowie, radcę Gutmana, konsulenta sanitarnego Zgórskiego, kontrolora ruchu Grudera i naczelnika stacyi Kleina. Ćwiczenia sanitarno ratunkowe tego korpusu przemyskiego odbyły się w polu za stacyą Bakończyce gdzie następnie dokonano zbiorowego zdjęcia fotograficznego, którego reprodukcyę dajemy dziś czytelnikom. Zasługa to przedewszystkiem kierowników korpusu pp. Szyszkowskiego i Kaconika, że w ciągu jednego roku zdołali pewną liczbę służby kolejowej wykształcić do pożytecznych celów, a ćwiczenia z dnia 27 bm. za Bakończycami były najlepszym dowodem, jak piękne są owoce ich pracy. Korpus przemyski sprawia się już dzisiaj zręcznie i nad wyraz sumiennie przy udzielaniu pomocy w nieszczęśliwych wypadkach.



Tragedya na dnie morskiem: Pięciu członków nieszczęśliwej załogi francuskiej łodzi podwodnej „Lutin“, która zginęła w zatopionym statku w głębinach morskich koło Biserty; od lewej ku prawej: porucznik Fepoux, marynarze Bardane, Olivier, Fortain, Maingault i oficer Millot.

Tragedya na dnie morskiem.

Zatopioną łódź podwodną francuskiej marynarki wojennej „Lutin“, której widok zamieściliśmy przed dwoma tygodniami, znaleziono nareszcie w głębinach morskich opodal Biserty i przewieziono do portu Sidi Abdallah, gdzie stojące na kotwicy okręty, powitały ją na znak żałoby opuszczeniem flag do połowy masztu. Naturalnie cała załoga łodzi zginęła w tej żelaznej trumnie morskiej. Na podstawie pierwszych oględzin odnalezionej łodzi, nasunęło się znawcom przypuszczenie, iż woda dostała się do wnętrza przez otwarte wentyle, które otwiera się tylko wtedy, kiedy potrzeba nabrać wody dla balastu. Wydobyto naprzód zwłoki dwóch podoficerów, następnie odnaleziono trupa porucznika Fepouxa (oto jego fotografia), który miał skórę z głowy zdartą, a wreszcie ciała jeszcze pięciu marynarzy. Reszta zwłok leży w tyle okrętu i nie udało się wydobyć ich jeszcze dla pogrzebania. Oprócz portretu porucznika Fepouxa, zamieszczamy jeszcze fotografie jednego z oficerów i czterech marynarzy z nieszczęsnej załogi „Lutina“ która w tak tragiczny sposób zginęła na dnie morskiem.

Krociowy rabunek w biały dzień.

Niesłychany ze względu na swą śmiałość i krwawe skutki rabunek, zelektryzował przed tygodniem mieszkańców Petersburga.

W samo południe, kanałem Katarzyny przejeżdżało lando zamknięte, w którem kasyer komory celnej przewoził do kasy gubernialnej przeszło 600 000 rubli pod konwojem 3 urzędników komory, 8 konnych żandarmów i agentów policyjnych. Oprócz kasyera jechał w powozie również szef in.



Krociowy rabunek w biały dzień: Niesłychany ze względu na swą śmiałość i krwawe skutki napad uliczny w Petersburgu na kanale Katarzyny, w porze południowej, na lando, w którem wieziono przeszło 600 000 rubli z komory cłowej.

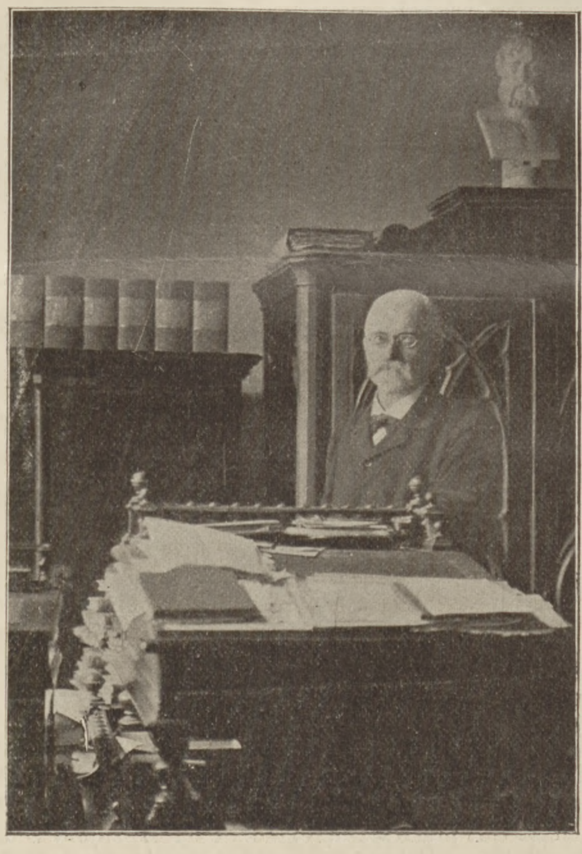
spekcyi celnej. Pieniądze wieziono w trzech worach. Na rogu kanału Katarzyny i zaułka Fonarnego na skrzyżowaniu ulic rzucono nagle trzy bomby, z których dwie wybuchły z hukiem ogłuszającym. Jeden koń w zaprzęgu padł, a lando zatrzymało się. Natychmiast po eksplozyi, wykonawcy zamachu w liczbie kilkunastu osób ostrzeliwali gęsto z rewolwerów i samo lando i konwój ochronny. Wśród tej strzelaniny po obu stronach było zaraz w pierwszej chwili dość rannych. Przez ten czas, gdy urzędnicy celni wyskoczyli z landa po wybuchu bomb, sprawcy zamachu porwali worki ze złotem i papierami procentowemi i uciekli z dwoma, a tylko jakiegoś młodzieńca w uniformie studenckim zdołała zauważyć policya, gdy z trzecim workiem z papierami na przeszło 200.000 rubli uchodził i puściła się za nim w pogoń. Uciekający dawał strzały poza siebie, wreszcie cisnął bombę. Sam nią zraniony, został pochwycony, gdy porzucił worek z pieniądzmi. Wraz z nim uwięziono jeszcze niektórych sprawców zamachu. Nadbiegło wojsko i zaczęło strzelać na wszystkie strony ku uciekającym, z których jeden sam sobie życie odebrał, nie widząc już ratunku.

Od kul żołnierzy padło mnóstwo rannych, byli i zabici na miejscu. Znaleziono jeszcze więcej bomb, które nie wybuchły, a miały formę blaszanek; były napełnione dynamitem i zawinięte w papier woskowany. Dynamit, sądząc z napisów, musiał pochodzić z Finlandyi. Jeden z aresztowanych po wybuchu sprawców, student uniwersytetu, oświadczył, że należy do partyi maksymalistów. Inni odmawiają zeznań. Przewódzcę odesłano do twierdzy Petropawłowskiej. Na skutek śledztwa aresztowano następnych dni kilkadziesiąt osób podejrzanych. Odnaleziono kobietę, żydówkę z Symferopola, której sprawcy rabunku wręczyli w chwili ucieczki pakiety z pieniądzmi i która natychmiast z niemi odjechała. Osadzono w więzieniu niektórych urzędników komory celnej, przypuszczając, że między nimi musieli być wspólnicy zamachu. Aresztowano nawet artelszczyków, którzy pieniądze w landzie przewozili, za to mianowicie, że po wybuchu bomb porzucili worki z pieniądzmi, zamiast z niemi uchodzić, mimo, że ich zatakowano strzałami rewolwerowymi. Według ostatnich doniesień, wydział ochrony stwierdził, że pieniądze zabrane w czasie napadu na kanale Katarzyny, których było istotnie, według obliczeń szczegółowych, 600.000 rubli, wywiezione zostały do Finlandyi, skąd zabrało je za granicę dwóch ludzi; odpłynęli oni statkiem ze swą zdobyczą. Prawie wszystkich sprawców zamachu, których udało się uwięzić, już do tej chwili stracono z wyroku sądu polowego.

Jubileusz historyka.

W ubiegłym tygodniu obchodzono we Lwowie jubileusz dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, znakomitego uczonego polskiego, historyka, z powodu trzydziestolecia pracy na stanowisku dyrektora w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich.

Wojciech Kętrzyński (oto jego portret) urodził się w r. 1838 w Ełku na Mazurach pruskich,



Jubileusz historyka: Obchodzący 30-lecie pracy na stanowisku dyrektora Ossolineum we Lwowie, zasłużony historyk, dr. Wojciech Kętrzyński.

z ojca pochodzenia polskiego, który jednak zniemczał był zupełnie, a nawet przybrał nazwisko niemieckie Winkler. Jako dziecię jeszcze prawie osierocony, został oddany do Domu sierocego po wojskowych w Poczdamie, gdzie spędził cztery lata, poczem rozpoczął nauki gimnazyalne w Rastemborku. Do gimnazyum wstąpił jako chłopak zniemczały, opuścił je jako młodzieniec świadom swej narodowości, jako patryota polski, pełen gorących uczuć. Słowo i książki polskie podziałały na umysł młodego Kętrzyńskiego w cudowny niemal sposób i uratowały go dla polskości. W r. 1859 zapisał się na uniwersytet w Królewcu, gdzie oddał się studyom historycznym, w szczególności zaś historyi polskiej. Spokojny, nauce poświęcony bieg życia jego, przerwały wypadki 1863 r. Wtrącony za udział w organizacyi narodowej do więzienia, opuścił je dopiero 1865 r.; w rok potem uzyskał stopień doktorski. Prawa do służby rządowej jednak nie przyznano mu. Pracował więc kolejno naprzód jako bibliotekarz u hr. Działyńskiego w Kórniku, później w tym samym charakterze w Wałyczu. W tym czasie też powstają jego pierwsze prace historyczne i etnograficzne. W parę lat później przenosi się do Lwowa, gdzie w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich został naprzód sekretarzem, potem kustoszem a wreszcie po śmierci Augusta Bielowskiego (1876), dyrektorem i na tem stanowisku do dnia dzisiejszego pracuje. Jako historyk, jako autor i badacz przeszłości odznacza się on niepospolitą bystrością i trzeźwością sądu i zajmuje jedno z pierwszych miejsc w polskim świecie naukowym.

W dniu jubileuszu zebrali się urzędnicy Ossolineum oraz grono stypendystów Zakładu w biurze dyr. Kętrzyńskiego aby mu złożyć życzenia. Imieniem ich przemawiali: sędziwy kurator Ossolineum dr Antoni Małecki, jeden z młodszych pracowników p. Józef Zaleski, oraz wiceprezes Czytelni akademickiej p. Sołtys-Kozaryn.

Nowy minister obrony krajowej.

(Do portretu na str. 2).

W miejsce generała Schoenaicha, który po gen. Pitreichu objął wspólne ministerstwo wojny, mianowany został austryackim ministrem obrony krajowej, generał broni Julian Latscher-Lauendorf, komendant IX korpusu i gen. komenderujący w Josefstadzie. Liczy lat 60, urodził się w Igławie jako syn oficera; studyował w szkole kadeckiej w Fiume i w Akademii Terezyańskiej w Wiener Neustadt, poczem przechodził kolejno stopnie wojskowe. Był kilkakrotnie w sztabie generalnym. W 1888 został pułkownikiem, w 1893 generalnym inspektorem oddziałów pionierskich, a w rok później generał-majorem, po trzech latach generałem porucznikiem. W 1905 po zamianowaniu gen. Schoenaicha ministrem obrony krajowej, przeniósł się gen. Latscher na jego stanowisko do Josefstadtu, a teraz znowu zluzował go na urzędzie ministra. Od roku jest nowy minister generałem broni, tajnym radcą i właścicielem 98 pułku piechoty, a posiada liczne dekoracye, jak order żelaznej korony III i II klasy, krzyż kawalerski orderu Leopolda, oprócz medali wojskowych i służbowych odznak oficerskich; z rosyjskich dekoracyi nosi order św. Stanisława. Od 23 lat minister Latscher jest żonaty z Antoniną Callenberg.



Fot. M. Münz, Lwów.

Na Strzelnicy lwowskiej: Kółko zabawowe starożytnego Towarzystwa Strzeleckiego we Lwowie.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

4 Ciąg dalszy.

— Wyprosiłam sobie jakiś czas do namysłu. Przyznaję, że propozycya doktora posiada w sobie bezsprzecznie coś takiego, co może skusić człowieka. Pozwala mi nawet zatrzymać dawną służbę przy sobie — tylko jedna Anna mnie niepokoi, doktor Viret przepowiada jej niedaleką śmierć. Choroba sercowa, na którą cierpi lat parę, przybiera coraz gorsze rozmiary. Pałac nasz zmienia się zwolna w dom pogrzebowy. Dawniej byłam bogatą, wesołą i szczęśliwą — dziś nic tylko nędza!

— Nie powinna pani oddawać się tak rozpaczliwym myślom panno Floro! Sami poddajemy się losowi, gdy w bezgranicznej rozpaczy nie umiejąc znaleść żadnego wyjścia opuszczamy ręce. Skoro szczęście odwróciło się od nas, nie powinniśmy zapominać tak łatwo o dawnem położeniu. Wszak uśmiechało się i do nas, — dlaczegóżby nie miały wrócić się te chwile?

— Czy się wrócą te chwile szczęścia? — zapytała Flora przez łzy.

— Jestem tego aż nazbyt pewny — odpowiedział Owen z wyrazem serdeczności w głosie — nie powinniśmy tracić nadziei!

— Tak pan sądzi? — spytała Flora z uśmiechem, — wie pan, że pod wpływem ożywczych słów pańskich, staję się jakoś silniejszą i nabieram ochoty do walki z losem, jaka mnie czeka.

— Najlepiej zgodzić się na to, wmówić w siebie poprostu, że wyższe potęgi spuściły na nas nieszczęście, nie aby nas dobić, lub zniszczyć — trzeba uwierzyć w to całem sercem, że to chwilowe nasze położenie, że to tylko celowy przejaw, z którego wydobyć się można. Więc pani — zapytał poważnie Fairford — zamierza przyjąć propozycyę doktora?

— A pan jakby mi radził postąpić?

— Obawiam się, ża rada moja mogłaby być interesowną — utracę bowiem tak miłą sąsiadkę, skoro pani zgodzi się na plan doktora Vireta.

— Gdzież znowu — odparła z mocą panna Derwent — nie myślę grać roli więźnia i nawet gdybym zgodziła się na wszystko, nie zamknę drzwi przed mymi przyjaciółmi. Ale! ale! na śmierć zapomniałam — przecież to pan wstydzi się ludzi i niechętnie z nimi obcuje.

— Pewne okoliczności złożyły się na to, zmusiły mnie do tego! Lecz niech mi pani wierzy, panno Floro — nie zawsze tak było — i ja miałem wielu przyjaciół i towarzyszy, błyszczałem, miałem cel jasno przed sobą wytknięty, pracowałem jak inni, pragnąłem zaszczytów, sławy.

— I mógł się pan wyrzec tego na zawsze? — zagadnęła go Flora z widocznem przejęciem.

— Na zawsze — odparł złamany Fairford — gdyż nie mogę się łudzić, aby się to wróciło kiedykolwiek, czasami odzywają się wspomnienia z lat dawnych, od czasu do czasu widzę to wszystko najwyraźniej przed oczyma mej duszy, zdaje mi się wtedy, że odżyłem na nowo, że rozpocząłem dawną pracę, puściłem się w pogoń za zaszczytami i sławą. Lecz oto wystarczy jedno spojrzenie, a wszystko znika niemiłosiernie, i znowu jestem sam, sam jeden z rozpaczą bez granic. Pani niewie jeszcze, co to prawdziwa tęsknota.

— Czy tajemnicy tej nie zechce pan komuś powierzyć?

— Zamknąłem ją w sobie na wieki!

— I weźmie ją pan ze sobą do grobu?

— Tak jest panno Floro — choć zamknąwszy ją w głębi duszy, jestem bardzo nieszczęśliwy. Lecz dajmy pokój tej sprawie!

Po chwili doszli do „Wroniego gniazda“. Fairford skłonił się nizko i skierował swe kroki w stronę przeciwną.

ROZDZIAŁ IX.

Zjawisko.

Zdaniem ekonomistów bogactwo jest wynikiem pracy, wstrzemięźliwości i rzutkości. Wszystkie te warunki posiadał Bodger w czasie służby u pana Fairforda jak najdokładniej, a szczęście nie sprzyjało mu jakoś. Praca, jakiej się podjął, była dla niego czemś ogromnie nieprzyjemnem i przykrem, co się tyczy wstrzemięźliwości znowu, to, wyjąwszy parę tajemnych wypraw nocnych do spichlerza chlebodawcy, mógłby się Józef śmiało zapisać do towarzystwa wstrzemięźliwych. Przedsięwzięcie jego było prawdziwie niebezpieczne, przyznać więc trzeba, że nie brakowało mu trzeciej cnoty i rzutkości. A jednak dzień po dniu upływał i wszystko pozostało po dawnemu, pani Cawdrey tylko coraz baczniejszą zwracała uwagę na niego, co go doprowadzało nieraz do serdecznej pasyi.

— Do dyabła z tem przeklętem pilnowaniem! Świętemu brakłoby cierpliwości! — zawołał w sobotę o drugiej w nocy, obserwując jak zwykle stanowisko nieprzyjaciela. W kwadrans niespełna zadowolenie zabłysło na jego znękanej twarzy. Słyszał najwyraźniej jak zaskrzypiały drzwi wchodowe.

Nie zważając na niebezpieczeństwo jakie groziło mu w tej chwili, wychylił się ostrożnie przez okno i ku najwyższemu przerażeniu spostrzegł natychmiast dobrze mu znaną wysoką czarną postać. Z gęstą zasłoną na twarzy, zwiesiwszy ręce niedbale, szła zwolna wyprostowana i sztywna.

Boger łamał sobie nieraz głowę nad stosunkiem, jaki zachodził między ową czarną postacią, a surowym Fairfordem, — o tem mógł się teraz przekonać, na wypadek gdyby tajemnicza osoba zdecydowała się wyjść poza ogród. Pragnął tego tem bardziej, ponieważ przekonał się dowodnie, że sposobność podobna nadarza się aż nazbyt rzadko.

Życzenie jego zdawało się spełniać, gdyż czarna postać zmieniła zamiar i zbliżywszy się do dużej bramy wchodowej otworzyła ją szybko i po małym namyśle zwróciła się w stronę cmentarza.

— Nareszcie — odetchnął Bodger. Kamień spadł mu z serca. Szybko zapalił świecę, zabrał z kufra jakieś narzędzia i nie zatrzymał się, aż dopiero przed oknem mieszkania w suterenach.

Odsunąć rygiel było dla niego zabawką. Bezzwłocznie przedostał się do środka i pełzał ostrożnie, aż do wejścia. Gdyby drzwi zastał zamknięte, mógłby i tak łatwo zatrzeć ślad swej obecności przy pomocy narzędzi, o których nie zapomniał w tak ważnej chwili! Szczęście sprzyjało mu jednak. Drżał z oczekiwania na całem ciele, gdy chwycił ręką za klamkę — drzwi otwarły się lekko. Bodger biegł cicho jak kot na piętro górne. Tutaj spotkał niespodziewanie zaporę — były to małe drzwi od strony schodów. Powrócił na dół i nie zdradzając swej obecności najdrobniejszym szelestem, stanął przed drzwiami sypialni Fairforda.

Gęste krople potu wystąpiły mu na czoło, lecz Józef nie zważał na to, nadsłuchując tylko pilnie. Zdawał sobie sprawę jak najdokładniej z położenia w jakiem się znajduje, chodziło mu jednak, i musiał dowiedzieć się na pewne, czy Owen bierze udział w spacerach nocnych tej tajemniczej postaci. Według jego rachuby zastałby pewnie sypialnię chlebodawcy próżną, lecz gdyby wpadł tak w ręce Fairforda, musiałby przyznać, że sprawa przegrana.

Prawą ręką pochwycił za kawał żelaza, mogącego służyć za broń w danym wypadku, lewą nacisnął klamkę, otwarł ostrożnie drzwi i jak mógł najciszej pełzał na czworakach w stronę łóżka Fairforda. W ciemności dotknął się oparcia, a kiedy cisza panująca w pokoju zdradzała nieobecność Owena, zapalił szybko zapałkę, i skierował ją w stronę łóżka. Ku swemu prawdziwemu zadowoleniu spostrzegł, że łóżko było jeszcze nieruszane; na łóżku leżał czarny surdut, który miał Owen na sobie przy kolacyi.

Powróciwszy szczęśliwie do swojej sypialni, rzucił się Bodger wyczerpany na posłanie, zapalił fajkę, i począł zastanawiać się nad wszystkiem, czego był mimowolnym świadkiem.

Co to wszystko mogło znaczyć? Pokój Owena był pusty — znane mu zjawisko opuściło kryjówkę i zwróciło się w stronę cmentarza. Przypuśćmy, że pożywienia dostarcza jej pani Cawdrey, — kiedy zanosi je jednak na górę, skoro ani on ani Sara, powodowani ciekawością nie mogli tego odkryć, choć pilnie śledzili dozorczynię.

Jak należało przystąpić do wyjaśnienia tej sprawy, tego Bodger nie wiedział — było jednak rzeczą aż nazbyt pewną, że tutaj można się porządnie obłowić.

Chodziło o większą pewność i tę pewność musiał mieć Bodger za wszelką cenę, gdyż za to spodziewał się sowitej nagrody. Miał popróbować szczęścia i poprosić grzecznie Fairforda o ładną sumkę, gdyż w razie przeciwnym, sprawa z nocnemi wycieczkami tajemniczej osoby, mieszkającej stale u Fairforda, mogłaby się oprzeć o sąd. Tajemniczą osobę widział krytycznej nocy jak szła za Derwentem, a Derwent przepadł jak kamień w wodzie. Musiał więc wytrwać tylko na tak ważnym posterunku i chociaż pracował ciężko, to jednak niedaleka myśl porządnego obłowienia się, dodawała mu bodźca i sił do wytrwałego pilnowania.

Następnego dnia zjawił się Owen u Flory i spytał o zdrowie Anny.

— Sprawa pogorszyła się znacznie, doktor Viret traci zwolna nadzieję utrzymania jej przy życiu.

— Smutne wieści — odparł Owen zmartwiony, lecz troska o zdrowie Anny była tylko pozorem, przychodzę w innym celu właściwie!

— Przeczuwałam to troszkę — odparła Flora.

— To mnie znacznie uspakaja panno Floro — nie mogę bowiem pogodzić się z myślą, że pani ucieka odemnie na zawsze.

— Jestem przecież w pańskiem towarzystwie.

— Jeszcze małą chwilkę tylko a potem...

Powstał, aby odejść. Pożegnanie panny Derwent wydawało mu się chłodniejszem nieco, gniewała się na niego z powodu tajemnicy, której nie chciał nikomu powierzyć. Dlaczego mówił tak dziwnie?

Czemu sam tak postępował, jak gdyby się starał utrudnić ich przyszłą wspólną rozmowę? Wszak mówił, że nic go nie wiąże z jej domem, a oto skorzystał z pierwszej lepszej sposobności, aby ją zobaczyć raz jeszcze. Flora wiedziała dlaczego Owen cierpi, słowa jego rozumiała dokładnie, nie pragnęła zatem, aby wyrażał się jaśniej lub zrozumialej.

Z nadejściem nocy pogorszył się stan Anny do tego stopnia, że Flora mimo wyraźnego oporu wiernej służącej musiała posłać po doktora Vireta.

— Tyle mi pomoże, co mojej biednej pani — zawołała Anna — za chwilę skończę, cieszę się tedy ogromnie, że nikt nie może oderwać panienki odemnie. Śmierci nie lękam się wcale, gdyż ona wyzwoli mię z tych mąk, jakie teraz znoszę. Boże! Nie mogę złapać oddechu! Zda mi się, że skonam z każdą minutą.

Na razie zaprzestała Flora namawiać ją do przyjęcia doktora, skoro jednak Anna pod wpływem mąk przedśmiertnych poczęła w okropny sposób jęczeć i płakać, zawołała drugiej służącej Lizy, polecając jej natychmiast przywołać doktora.

Liza była córką grabarza wioskowego Mogboda. Z natury bojaźliwa ogromnie, nie mogła pochwalać polecenia swej pani, ponieważ jednak nie chciała się jej sprzeciwiać, otworzyła bramę wchodową i ruszyła natychmiast w drogę.

W niespełna kwadrans pociągnął ktoś silnie za dzwonek. Panna Derwent zbudziła kucharkę, musiała jednak sama otworzyć, gdyż ta poczęła drżeć ze strachu na całem ciele i za nic w świecie nie chciała wyjść o tej godzinie na pole.

Flora zdziwiła się ogromnie, ujrzawszy przed sobą Lizę. Zaledwie otwarła drzwi, gdy Liza nie dając słowa wyjaśnienia wpadła blada jak trup, do przedpokoju i buchła serdecznym płaczem.

— Nie byłaś zatem u doktora Vireta? spytała Flora, zbliżając się do dziewczęcia — co ci się stało, Lizo?

— Boże! mój Boże! — zawołała Liza wśród płaczu, już nigdy nocą nie pójdę, choćbym wiedziała, że Anna skona tymczasem. Wielki Boże! myślałam, że padnę martwa ze strachu, gdy spiesząc co tchu, po doktora, znalazłam się najniespodziewaniej przed jakąś czarną postacią.

— Kto to mógł być jednak?

— Nie wiem panienko — niewiem! Jakaś wysoka czarna kobieta pewnie lunatyczka. Twarz miała gęstą woalką zasłonioną, a ręce długie zwisały martwe bez ruchu. Gdy krzykłam głośno ze strachu, spojrzała na mnie surowo, że aż mnie dreszcze przeszły. Ona zaś nie zważając na moje rozpaczliwe krzyki, szła dalej zwolna majestatycznie.

— Na Boga! zamknijcież prędko bramę — zawołała do kucharki, która słuchała tej całej historyi zdaleka.

— Jeszcze nie — rozkazała panna Derwent tonem stanowczym — zobaczę, co słychać z Anną. Jeśli nie polepszyło jej się tymczasem, pójdę sama po doktora Vireta.

Pomimo odwagi jaką Flora okazała, odetchnęła swobodniej, gdy spostrzegła, że Anna zasnęła spokojnie — doktora więc można było przywołać dopiero rano.

ROZDZIAŁ X.

— Dlaczego nie posłała pani po mnie w nocy — zapytał doktor przyszedłszy nad ranem.

— Owszem — posyłałam po pana — ale...

— Czy uwierzysz — panie doktorze — posłałam Lizę, — a to głupie stworzenie ubzdurało sobie, że ktoś jej drogę zastąpił, gdy przechodziła koło cmentarza, i czemprędzej przybiegła z powrotem do domu.

— Paradne! Skłamała najpewniej!

— Upiera się przytem, że widziała jakąś wysoką, czarno ubraną kobietę. A kto wie zresztą, może i tak było jak powiada.

— Ktöżby to mógł być jednak? O tym czasie ulica pusta, a nocą nikt nie wybiera się na spacer — z pewnością halucynacya.

— Może Liza spotkała się z jakąś lunatyczką?

— Czy w Rookfield jest aby jedna? Lecz co do pani panno Floro jeszcze — wygląda pani tak mizernie, iż zaczynam się porządnie niepokoić o panią. Nie chciałbym narzucać swej woli, ale jako doktor muszę pani poradzić rzecz jedną — niech pani natychmiast spakuje swe rzeczy i skorzysta z mego zaproszenia.

— Jak ja się za to odwdzięczę panu, panie doktorze? Nie mówmy o tem! Moja gospodyni przeznaczyła już dla pani najweselszy pokoik.

— Nie mogę Anny przecież zostawić!

— Prawda! prawda! na śmierć zapomniałem! Anna potrzebuje opieki, lecz jeśli mam być szczerym, dni jej już policzone. Pani nie może za nic w świecie pozostać w tym domu!

— Nasz adwokat radził mi zaczekać ze wszystkiem aż do przybycia Arnolda.

— Arnold prędzej niż za miesiąc nie może przyjechać, nawet w tym wypadku, gdyby otrzymał bez najmniejszej zwłoki list adwokata.

Zaledwie skończył doktor Viret, gdy oto rozwarły się drzwi i Liza zawołała donośnym głosem: „Pan Derwent przyjechał!"

— Ojciec powrócił! — zawołała Flora ucieszona niezmiernie, spiesząc natychmiast na powitanie jej ojca. Lecz doktor stanął na progu, rozkrzyżował szeroko ręce i rzekł:

— To nie twój ojciec dziecino— ten nie powróci nigdy — to kuzyn z pewnością. Kto zatem przyjechał? zapytał surowo Viret, zwracając się do Lizy.

— Pan Arnold Derwent — odparła służąca. Nie zaczekawszy na odpowiedź Lizy, wyrwała się Flora z objęć doktora spiesząc na spotkanie rzekomego ojca. Padła prawie w ramiona młodego, barczystego mężczyzny, który ją przycisnął do serca i ucałował serdecznie.

Młody Derwent opalił się do tego stopnia, że trudno go było teraz poznać. Gdy go Flora żegnała przed rokiem, miał dużą, piękną brodę — bez niej wyglądał jakoś obco. Ubranie jego sporządzone ze zwykłej materyi było porządnie zniszczone.

Arnold przypatrywał jej się z prawdziwem zadowoleniem, bo mimo nieprzyjaznych stosunków z jej ojcem, kochał po swojemu młodą i przystojną Florę — i chociaż nie widząc jej, nie cierpiał i nie bolał nad tem to jednak zadowolony był przecież, że może z nią znowu porozmawiać. Tęsknota za nią nie przeszkadzała mu szumieć i używał żywota — serce jego mogło i kogoś drugiego ugościć.

Panna Derwent cieszyła się również, lecz byłoby jej pewnie daleko przyjemniej, gdyby był Arnold zapomniał o dawnej poufałości.

— Serdecznie się cieszę, że przyjechałeś wreszcie — zawołała, ściskając dłoń jego — nie spodziewałem się, żebyś mógł przyjechać tak prędko!

— Nie uwierzysz Floro, jak mi tęskno było za tobą i za ojczyzną — odparł Arnold z uśmiechem — kiedy pożegnałem cię przed rokiem, myśl, że zobaczę cię raz jeszcze choćby, dodawała mi siły i otuchy. No — jakże się miewasz? Wcale nie źle wyglądasz, — co do mnie, to szczęśliwy jestem ogromnie, że cię widzę.

Arnold zwrócił się do doktora Vireta. Panna Flora nie zapomniała, że poznała doktora dopiero po odjeździe Arnolda, i zapoznawszy ich ze sobą, poprosiła do biblioteki ojca.

Doktor Viret, rozważywszy wszystko dokładnie, doszedł do przekonania, że Arnold nie mógł zagranicą otrzymać listu Edwarda, gdyż pokazało się niebawem, że młody Derwent nie miał najmniejszego pojęcia o wypadkach, jakie zaszły tymczasem, a o czem Fdward obszernie mu doniósł. Postanowił się zabrać oględnie do rzeczy:

— Czy dawno, jak pan do Anglii przyjechał panie Derwent? — zapytał zwracając się do Arnolda.

— Przyjechałem do Southampton w sobotę w nocy. Podróż odbyłem na znakomitym parowcu „Radnor".

— W takim razie nie wiesz pan zapewne nic o nieszczęściu, jakie spadło na pańską kuzynkę — odpowiedział doktor Viret przyciszonym głosem — stryj pański znikł bez śladu.

Nie starając się zupełnie odgadnąć zamiaru doktora, przeszedł Arnold do pokoju stryja, gdzie czekała na niego Flora, zdziwiona niezmiernie tajemniczem postępowaniem Vireta.

— Tak jest! Wiem już o wszystkiem — odpowiedział głośno i bezwzględnie. W hotelu w Southampton czytałem nawet o rozpisaniu nagrody. Była to dla mnie tego rodzaju niespodzianka, że mało nie oszalałam z rozpaczy! Jego wygląd zewnętrzny świadczył zupełnie co innego.

— Kazałem podać sobie dziennik, przeczytałem najdokładniej sprawozdanie i chodziłem jak struty. Spać nawet nie mogłem, skorzystałem z pierwszego pociągu i pojechałem najpierw do naszego adwokata Edwarda. Zatrzymałem się u tego starego przyjaciela dzień cały i sam nawet zwątpiłem, czy uda mi się dostać się do was dziś jeszcze.

Spokój z jakim Arnold opowiadał o tem wszystkiem, dotknął niemile Florę. Poznała, że nieszczęścia tego nie odczuwa i to zraziło ją do niego.

— Arnold! żebyś ty wiedział. co ja musiałam wycierpieć, przez te kilka dni! Ty nie możesz zrozumieć mojej rozpaczy! Nieszczęście przyszło tak niespodziewanie, tak nagle, że dotychczas jeszcze nie mogę się z niem pogodzić Na tem miejscu, stał jeszcze wieczorem we wtorek najzdrowszy w świecie — rano nie było go już — znikł bez śladu, nie zostawiwszy do mnie ani słowa. Bóg wie, co się z nim stało!



O ile wiem, nie złożyłeś pan dotąd egzaminów lekarskich?

— Rozumiem cię Floro, rozumiem! No ale widzisz, nieszczęścia trzeba znosić z filozoficznym spokojem. Ot popatrz na mnie — dodał podkręcając wąsa — ja również cierpię. Zniknięcie, śmierć stryja dotknęły i mnie głęboko, ale koniec z końcem pogodziłem się z losem, skoro inaczej być nie mogło. Co za nieszczęście! Co za nieszczęście!

Lecz Flora łudziła się jeszcze. Ceniła Arnolda więcej, niż on może przypuszczał, dlatego chciała pewności. Teraz musiała się dowiedzieć, czy śmierć jej ojca była w gruncie rzeczy dla Arnolda najzupełniej obojętnym wypadkiem.

— Ja wiem dobrze — zaczęła po chwili, — że ty cierpisz również Arnoldzie. Bo pomyśl tylko, jak dobrym był dla ciebie, dla mnie, wogóle dla każdego kto z nim miał jakiekolwiek stosunki. Przedstaw sobie teraz dokładnie, całą grozę wypadku, nieszczęście, jakie na nas spadło.

— Tak! Tak! Grozę tego nieszczęścia i ja czuję — choć mną nie wstrząsnęło ono tyle co tobą, kochana Floro. Ale nieszczęścia są konieczne na tym świecie. Stryj nieraz mi prawił kazania, — nieraz występował przeciwko mnie surowo, no ale ja mu tego nie mogę pamiętać, gdyż to nic, wszystko przeszło, minęło. Boże! Boże! Bezpowrotnie! Wiem, że zasłużyłem sobie nieraz na coś podobnego, lecz bądź o tem mocno przekonaną moja Floro, że padłbym przed nim teraz, gdyby powstał z grobu, na kolana z prośbą o przebaczenie mych przewinień.

— Na nieszczęście nie stanie się to już nigdy — odparł doktor Viret. Spodziewam się, że pan panie Arnoldzie zechce pozostać tutaj dłużej?

— Zgadłeś doktorze! Miałem zamiar pierwotnie otworzyć bardzo rentowny interes, no ale wobec takiego nieszczęścia zostanę już z wami i nie pierwej opuszczę Rockfield, aż zedrę maskę tajemniczości, jaka spoczęła na tem całem nieszczęściu.

— Dzięki ci za to Arnoldzie — zawołała Flora uradowana, że znalazła w duszy Arnolda przynajmniej jedną iskrę uczucia — choć z góry powątpiewam w skutek naszej pracy. Policya przedsięwzięła najdalej idące poszukiwania za zwłokami ojca, rozpisano nagrodę dla tego, który da jakiekolwiek wskazówki — daremnie — sprawa nie posunęła się naprzód ani o krok nawet, jest i będzie zdaje się nierozwiązalną zagadką. Boże! Jakżeż to przykre! Jeden inspektor Holdt twierdzi z wszelką stanowczością, że ojciec żyje, lecz i Holdt nic dotąd nie odkrył ważnego.

— Holdt tak twierdzi? — zawołał Arnold z widocznem niezadowoleniem — kłamie łajdak. Jak ma serce, patrząc na twoją rozpacz, prawić ci jeszcze coś podobnego. Stryj z pewnością nie żyje! On umarł na pewne i jeśli można twierdzić coś na tym świecie z niekłamaną stanowczością, to chyba to tylko, że stryj nie powróci nigdy!

Zachowanie Arnolda obrażało boleść Flory, poczęła czuć wstręt do niego. Całymi dniami spoglądała z tęsknotą w strony gościńca, spodziewając się lada chwila jego przybycia i ciesząc się tem, jak małe dziecko, kiedy dostanie nową zabawkę, gdy oto spotkała ją niemiła niespodzianka. Nie upłynęła godzina jeszcze, jak Arnold przyjechał, a już poznała, że jest mu obcą, i tylko wspomnienia lat dawnych, wesołych, niewinnych lat dziecinnych, nie pozwalały jej rzucić całej prawdy w oczy, temu nielitościwemu gburowi.

Doktor Viret natomiast nie krył się wcale ze swemi myślami. Od pierwszej chwili nienawidził Arnolda całą duszą, mimowoli odpychało go coś od niego, dlatego starał się skrócić swoją wizytę i podając rękę Florze, powiedział:

— Wieczorem zaglądnę — spodziewam się u Anny przesilenia.

— Czyżby Anna zachorowała? — spytał Arnold z nietajonem zdziwieniem.

— Boję się Arnoldzie — odpowiedziała Flora — że Anna lada chwila może skończyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gorkij i jego przyjaciółka.

Niedawno rozeszła się wieść, iż wielki pisarz rosyjski po swej głośnej podróży po Stanach Zjednoczonych, nie mając za co powrócić do Europy, żyje w jednem z małych miast amerykańskich prawie w nędzy w stosunku do poprzednich dochodów, a utrzymuje się tylko z płacy, jaką pobiera wierna jego przyjaciółka, słynna już dziś Andrejewna, zajęta w charakterze kasyerki w nocnej kawiarni. Pisaliśmy już bowiem w swoim czasie, że Gorkij był zbojkotowany przez społeczeństwo amerykańskie za to, że zostawiwszy o głodzie w Petersburgu żonę i dzieci, pojechał za Ocean z kochanką i jeszcze ją w amerykańskich domach przedstawiał zrazu jaką małżonkę. Teraz świat się dowiedział, że autor „Mieszczan“ i „Na dnie“ zjawił się znowu w Europie. Świeżo zawitał do Neapolu, gdzie w porcie interwiewy odbyli z nim dziennikarze, pytając go o sytuacyą w Rosyi, mimo, że wraca z drugiej półkuli. Publiczność w teatrze wyprawiła Gorkiemu i jego przyjaciółce (oto ich ostatnia fotografia wspólna) hałaśliwe owacye, za które aż aresztowano ekscedentów.



Gorkij i jego przyjaciółka: Znakomity pisarz rosyjski i przywódca rewolucyonistów, Maksym Gorkij, w powrocie ze swej głośnej podróży po Ameryce, bawiący w Neapolu ze swą przyjaciółką Andrejewną, dla której porzucił w Petersburgu żonę i dzieci.

Wraca bohater po dwóch wiekach...

Prawie po dwustu latach wraca do Węgier Rakoczy, wraca wielki bohater narodowy, którego przed dwoma wiekami interdyktem obłożył sejm stanów węgierskich w Preszburgu i skazał na banicyę, jako najzaciętszego wroga austryackiej dynastyi na Węgrzech. Teraz popioły Franciszka II Rakoczego, księcia Siedmiogrodu, zmarłego na wygnaniu w Stambule, wracają do ojczyzny — jako widomy dowód zgody między królem a narodem węgierskim. Mało który naród na świecie umie roztoczyć tyle przepychu przy każdej wielkiej uroczystości, jak Węgrzy właśnie. A dowodem tego wspaniałe bramy tryumfalne na rynkach Budapesztu i tysiączne flagi na całej drodze po kraju przygotowane na przyjęcie prochów bohatera, przewożonych z kaplicy św. Benedykta, gdzie wraz z rodziną towarzyszącą mu na obczyźnie, spoczywały w Stambule — do grobowca w Koszycach, w tych Koszycach, z których Rakoczy, opanowawszy na czele patryotów całe północne Węgry w walce z cesarzem Leopoldem — uczynił sobie stolicę. Widać, że idea Rakoczego nie zgasła w narodzie, skoro po nim powstał Ludwik Koszut z jego programem, skoro dziś wreszcie najsilniejszą na Węgrzech jest partya, która hasła Rakoczego wywiesiła na swym sztandarze. Po 195 latach wraca z Turcyi w tryumfie do swego kraju dzielny wódz Węgrów, walczących o swe narodowe prawa, a wnukowie tych, którzy go wyklęli, niosą na barkach trumnę z jego popiołami do grobowca, który pozwolił mu wreszcie wznieść obecny król węgierski. Prezydent ministrów przedłożył sejmowi uchwałę znoszącą wyrok banicyjny na Rakoczego i postanawiającą sprowadzić jego zwłoki kosztem państwa. kosztem pół miliona kor.

Rakoczy został wychowany w duchu austryackim. Patryotyzm węgierski obudził się u niego dopiero wtedy, gdy austryacki fiskus obłożył dobra jego opłatami grożącemi mu ruiną. Wszedł więc w kontakt z Ludwikiem XIV francuskim. Austryacy dowiedziawszy się o tem, ujęli go i pod zarzutem zdrady stanu osadzili w więzieniu, z którego Rakoczy uciekł do Polski i żył w naszym kraju przez czas pewien za króla Leszczyńskiego. Kiedy Austrya wzięła udział w hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej, na Węgrzech ogołoconych z wojska zaczęło się gotować powstanie, na czoło którego powołano Rakoczego. Wszczął on krwawą walkę z Austryakami i byłby był ich zmógł, gdyby nie liczne zdrady podwładnych, na skutek których udało się Austryi stłumić powstanie. Ironia losu chce, że człowiekiem, który dzieła Rakoczego zadał cios śmiertelny, oddając zdradą w ręce Austryaków twierdzę liwoczańską, był Andrassy, przodek tego hr. Andrassy'ego, który teraz jako węgierski minister z taką uroczystością przyjmuje popioły Rakoczego w Budapeszcie.

W Orsowie powitała jego popioły deputacya posłów, następnie na całej drodze pociąg z trumną zatrzymywał się i wszędzie odbywały się wielkie uroczystości patryotyczne.

Najwspanialsze uroczystości odbyły się w samym Budapeszcie. Tu na powitanie zwłok wygnanego wodza wyruszyło wszystko, co żyło. Zebrali się ministrowie, Izba magnatów, Izba posłów, wyższe duchowieństwo, żupani, burmistrze, tysiące deputacyi, a wszystko w przepięknych bogatych węgierskich strojach narodowych kapiących od złota i drogich kamieni. Olbrzymi pochód ciągnął się na blizko milowej przestrzeni, otoczony przeszło półmilionowym tłumem, posuwał się zwolna wśród bicia dzwonów kościelnych, marszów smętnych muzyki i śpiewów narodowych, nuconych równocześnie na całym tym olbrzymim obszarze. Za mistrzem ceremonii, który jechał na czele pochodu ze złotą buławą w ręce, jechały banderye już to błękitne, już to zielone, wszystkie postawne, w historycznych strojach, niektóre zaś w koszulkach drucianych, ze skórami zwierzęcemi na ramionach.

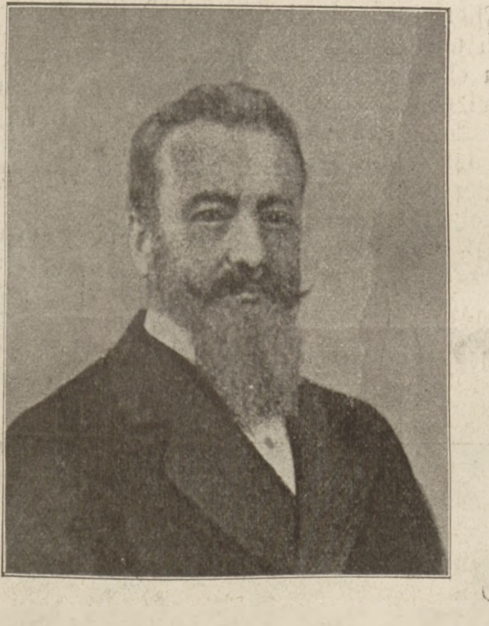


Wraca bohater po dwóch wiekach: Magnaci węgierscy, kroczący w uroczystym pochodzie przez ulice Budapesztu za trumną z popiołami Rakoczego.



Wraca bohater po 2 wiekach: Sprowadzenie zwłok Rakoczego z Turcyi do ojczyzny węgierskiej; wóz, wiozący popioły bohatera narodowego przez ulice Budapesztu do bazyliki.

Hr. Tököly wiózł chorągiew Rakoczego, małą, postrzępioną z napisem: „pro libertate“ i obrazkiem Matki Boskiej Za nim niesiono różne pamiątki po Rakoczym, a wreszcie ukazali się rycerze, dzierżący w dłoniach proporce niemieckie, które wielki ten wódz zdobył na nieprzyjacielu podczas walk długoletnich. Przyjmowano je z entuzyazmem. Znów banderye przeróżne, wreszcie rycerz na czarnym koniu cały w zbroi z przyłbicą spuszczoną.



Proces o straż honorową: Znany magnat wielkopolski, członek Izby panów, Józef Kościelski z Miłosławia.

Potem nieprzejrzane szeregi duchowieństwa, a za nim trzy wozy z popiołami Rakoczego, jego rodziny i towarzyszy wygnania. Za każdym wozem rumak czarny kirem okryty. Teraz ruszyli dygnitarze i deputacye, bez wyjątku wszyscy w strojach węgierskich z karabelami przy boku, a za nimi stowarzyszenia i korporacye. W pierwszym rzędzie szło „Stowarzyszenie Polaków“ ze wspaniałym swym sztandarem, a za nim ugrupowały się inne, które dotychczas stały w szpalerze. Przy biciu dzwonów i śpiewie: „Te Deum“ wchodzono do bazyliki, gdzie odbyło się pokropienie zwłok i msza uroczysta. Zwłoki wystawiono w kościele, a trumnę z relikwiami ojczyma Rakoczego, hr. Tökölego zawieziono do świątyni ewangelickiej. Wieczorem zabrała trumny młodzież akademicka i poniosła z powrotem na kolej. Reszta uroczystości odbyła się w Koszycach i w Kesmarku, dokąd wyjechali wszyscy biorący udział w uroczystości osobnymi pociągami.

Proces o straż honorową.

Prokuratorya pruska wytoczyła Józefowi Kościelskiemu w Miłosławiu, posłowi Chrzanowskiemu z Poznania i kilku innym osobom proces o urządzenie nielegalnego zgromadzenia polskiego. Oto jak wygląda wina podsądnych, przeciw którym w tych dniach rozpoczęła się rozprawa i grozi im karą więzienną: Gdy policya pruska odmówiła pozwolenia na zlot Sokołów, znany magnat wielkopolski, pan Kościelski, zaprosił ich do swego parku w Miłosławiu i tu dla nich wyprawił festyn, na który, rzecz prosta, nie wpuścił policyi do swej rezydencyi. Taki festyn uznała prokuratorya za nielegalne zgromadzenie polityczne, publiczne, a nie zgłoszone wprzód w policyi i odbyte bez jej dozoru. A co najgorsza, że brali w niem udział ludzie uzbrojeni. Trzeba bowiem wiedzieć, że jest zwyczaj w pałacu pp. Kościelskich, iż na przyjęcie liczniejszych gości w parku, gajowi z lasów miłosławskich, ubrani w zielone mundury i rogatywki pełnią straż honorową z dubeltówkami na ramieniu. I o to Prusacy wodzą dziś przed sądy członka Izby panów Kościelskiego, oraz prezesa Sokolstwa w Wielkopolsce, posła Chrzanowskiego.

Czterdziestolecie Czytelni akademickiej we Lwowie.

Uroczystość jubileuszowa lwowskiej „Czytelni akademickiej“, o której pisaliśmy w poprzednim numerze, uroczystość urządzona w ubiegłą niedzielę, wypadła nad wyraz podniośle i wspaniale. Zetknęły się podczas niej dwa pokolenia: mężów osiwiałych w życiu publicznem, mężów pełnych zasług, których nazwiska wyryte złotemi głoskami w dziejach naszej dzielnicy i ludzi młodych, w pełni sił, w służbę tę dopiero wstępujących.

Rozpoczęto dzień jubileuszowy uroczystem nabożeństwem w kościele archikadetralnym, poczem odbył się w sali ratuszowej uroczysty poranek. Przemawiali na nim: pierwszy prezes „Czytelni“



Proces o straż honorową: Prezes Sokolstwa w Wielkopolsce, poseł z Poznania Bernard Chrzanowski.

sędziwy poseł A. Rayski, rektor uniwersytetu dr. Gryziecki, prorektor politechniki prof. Syroczyński i obecny prezes „Czytelni“ p. Haluch-Brzozowski.

Na zakończenie uroczystego dnia odbył się w salach lwowskiej strzelnicy koncert, w którym wzięły udział najwybitniejsze siły artystyczne Lwowa i bankiet, podczas którego wygłoszono szereg toastów i przemówień.



Fot. E. Trzemeski, Lwów.

40-lecie Czytelni akademickiej we Lwowie: Grupa byłych prezesów i wiceprezesów Czytelni, zgromadzonych na uroczystości jubileuszowej: 1. obecny prezes Haluch-Brzozowski, 2. obecny wiceprezes Sołtys-Kozaryn; byli prezesowie: 3. prof. St. Starzyński, 4. poseł dr. Godzimir Małachowski, 5. poseł dr. Tad. Skałkowski, 6. Ekscel. Leon hr. Piniński, 7. poseł Albin Rayski, 8. Ekscel. dr. Al. Tchórznicki, 9. radca dworu dr. K. Engel, 10. dyr. Fr. Próchnicki, 11. prorektor dr. Ant. Gluziński, 12. Fel. Przyjemski, 13. prof. dr. O. Balcer, 14. dr. St Nowosiecki, 15. dr. H. Sawczyński, 16. dr. Al. Lisiewicz, 17. poseł dr. M. Grek, 18. Jul. Reiner, 19. dr. Ant. Wereszczyński, 20. inż. Kaz. Jarocki, 21. prof dr. Kaz Jarecki, 22. dr. A. Skałkowski, 23. prof. dr. K. Wojciechowski, 24. dr. Zdzisław Próchnicki, 25. prof. dr. Kaz. Wróblewski, 26. red. Bron. Laskownicki, 27. dr. E. Adam, 28. Zyg. Łaszowski, 29. dr. M. Liptay, 30. red. dr. J. Paygert, 31. K. Argasiński, 32. prof. dr. L. Bykowski, 33. Al. Derkacz, 34. E. Moszyński, 35. A. Plutyński, 36. J. Leszczyński, 37. dr. T. Moszyński, 38. dr. E. Dubanowicz, 39. dr. Stan. Stroński.

Miłą pamiątką dla uczestników uroczystości będzie wspólna fotografia byłych prezesów i wiceprezesów Czytelni, której reprodukcyę podajemy w dzisiejszym numerze.



Fot. St. Koszutski z Warszawy.
Na pobojowisku pod Maciejowicami: Pielgrzymka grona druhów z gniazda im. Kościuszki „Sokoła" warszawskiego do Maciejowic: złożenie wieńca pod krzyżem pamiątkowym, w miejscu, gdzie padł ranny w bitwie Kościuszko.



Fot. St. Marynowski.
Warszawa w rocznicę konstytucyi rosyjskiej: Na ulicach Warszawy w dniu 30 października patrole rewidują wszystkich licho odzianych przechodniów.

Na pobojowisku pod Maciejowicami.

Grupa członków gniazda im Kościuszki warszawskiego „Sokoła" odbyła 28 z. m. pielgrzymkę do Maciejowic.

Na pamiętnem pobojowisku, gdzie wkrótce po zwycięstwie racławickiem polała się obficie krew naszych pradziadów na polach pod Maciejowicami, złożyli pielgrzymi warszawcy wieniec u stóp wysokiego krzyża, wznoszącego swe ramiona w miejscu, gdzie naczelnik Kościuszko wśród bitwy padł ranny.

Jeden z uczestników pielgrzymki p. Koszutski sfotografował chwilę zebrania się pod owym krzyżem grona Sokołów warszawskich, a reprodukcyą tego zdjęcia zamieszczamy dziś na pamiątkę dla naszych Czytelników.

Warszawa w rocznicę konstytucyi rosyjskiej.

Rocznica „historycznego dnia" nadania konstytucyi upłynęła w Warszawie cicho i spokojnie.

Ludzie możeby o rocznicy tej nie pamiętali, gdyby nie wzmożone na ulicach posterunki wojskowo-policyjne i gdyby nie artykuły w dziennikach przypominające ów „historyczny dzień" i łączące się z nim wiekopomne wypadki.

Na rogach ulic oprócz zwykłych pieszych posterunków wojskowych i policyjnych rozstawiono nadto posterunki konne z szeregowców gwardyi konnej, huzarów i ułanów.

Już od rannych godzin na ulicach dokonywano masowych rewizyi zwłaszcza na głównych ulicach jak Marszałkowskiej i Nowym Świecie.

Skutkiem tego aresztowano sporo osób, nieposiadających papierów legitymacyjnych. Osoby odesłano dla sprawdzenia tożsamości do cyrkułów, skąd większość wypuszczono na wolność.

Łaźnia ludowa w Krakowie.

Nareszcie i Kraków doczekał się instytucyi publicznej, bez której nie może obejść się żadne miasto nowoczesne. W niedzielę w sposób uroczysty poświęcono nowy gmach pierwszej łaźni ludowej, której widok zewnętrzny załączamy wraz z fotografią jednego z momentów aktu poświęcenia i otwarcia tak niezwykle pożądanego i pożytecznego zakładu.

Łaźnia ludowa, wybudowana na gruncie miejskim, kosztem około 40.000 koron, z funduszu miejskiej Kasy oszczędności, mieści się przy ulicy Karmelickiej, l. 47, w piętrowym gmachu, zbudowanym podług projektu budowniczego r. m. p. Beringera. Zarówno w rozkładzie całości, jak urządzeniu pojedynczych części, przyjęto i zastosowano wszystkie nowoczesne ulepszenia, tak, że krakowska łaźnia ludowa może służyć za wzór, jak takie zakłady urządzane być powinny. Główne wejście od ulicy prowadzi na wysoki parter, gdzie mieszczą się dwie poczekalnie, dla mężczyzn i kobiet. W poczekalniach, które z czasem mają być urządzone także jako czytelnie ludowe, nabywa się w okienku kasy bilety; osobnemi zaś korytarzami przechodzi się do kabin kąpielowych. Kabin tych jest 16, z tego 4 z wanami (2 dla mężczyzn, 2 dla kobiet), 9 natryskowych dla mężczyzn i 3 natryskowe dla kobiet. Zarówno podłogi, jak i ściany, przedzielające kabiny, są pociągane t. zw. teraną, to jest twardym materyałem, imitującym marmur, który bardzo łatwo zmyć i wysuszyć. Kabiny posiadają proste, lecz wystarczające umeblowanie, składające się z lustra na ścianie, ławki i wieszadeł, kabiny natryskowe posiadają najlepsze techniczne urządzenie, pozwalające samemu kąpiącemu się regulować ciepłotę tuszu, który może być puszczony równocześnie także od dołu. Przyrząd tuszowy od góry umieszczony jest nie wprost nad głową, ale pod kątem ostrym, gdyż czasem kąpiący się nie znosi zlania głowy. Wnętrze całego gmachu, pełne światła i słońca, malowane jest na kolor perłowy, przyjemny dla oka, wszędzie panuje jednostajna ciepłota, z powodu dobrze skonstruowanego ogrzewania centralnego. — Raz w tygodniu będzie



Fot. W. Lis.
Łaźnia ludowa w Krakowie: Nowy gmach świeżo powstałej w Krakowie Łaźni ludowej przy ulicy Karmelickiej.

zmywany cały gmach i desynfekcyonowany rozczynem sublimatu; oświetlenie gmachu jest elektryczne.

Ceny kąpieli będą nadzwyczaj niskie: kąpiel w wannie z mydłem i ręcznikiem 40 halerzy, kąpiel natryskowa z mydłem i ręcznikiem 12 hal., za dodatkowy ręcznik dopłaca się 4 hal., dzieci do lat 15 za kąpiel natryskową płacą 8 hal. Kąpać się można w wannie najdłużej 30 minut, w tuszu 15 minut. Łaźnia ludowa nie jest obliczona na zysk, owszem dążeniem zakładu jest obniżyć jeszcze ceny kąpieli, a nawet doprowadzić do bezpłatności. Łaźnia może być jeszcze rozszerzona na 6 do 8 kabin natryskowych dla dzieci.

Gmach na zewnątrz robi sympatyczne wrażenie. Całe urządzenie łaźni powstało siłami miejscowemi.



Fot. W. Lis

Łaźnia ludowa w Krakowie: Akt poświęcenia nowego gmachu Łaźni Ludowej w Krakowie: 1. del. Federowicz, 2. ks. kan. Błonarowicz, 3. dyr. Staniszewski, 4. rejent Klemensiewicz, 5. dyr. Biliński, 6. prof. dr. Pareński, 7. prez. Turski, 8. radca Suski

Za ćwierćwiekową służbę.

W Żółkwi miejska straż pożarna obchodziła świeżo domową uroczystość.

Medalem honorowym udekorowano starszego strażaka ogniowego Grzegorza Kozaka za 25 lat służby zawodowej, za ćwierć wieku czuwania w dzień i w nocy i za niezliczone wypadki narażania życia swego przy ratowaniu wśród płomieni mienia i życia bliźnich.

Słusznie za tyle lat pracy przy miejskiej straży pożarnej należy się odznaczenie w postaci medalu honorowego. Toteż z miłą chęcią pospieszyli mieszkańcy Żółkwi na uroczystość dekoracyi Kozaka, któremu przypiął medal zastępca burmistrza p. Maciulski.

Fotografia nasza, zdjęta przez amatora p. Stanisława Cukiera, przedstawia zebraną po uroczystości straż i służbę miejską w Żółkwi wraz z gośćmi, wśród których obok wiceburmistrza widać udekorowanego świeżo Grzegorza Kozaka.



Fot. amat. Stan. Cukier w Żółkwi.

Za ćwierćwiekową służbę: Uroczystość udekorowania medalem honorowym za 25-letnią służbę starszego strażaka ogniowego Grzegorza Kozaka (2), przez wiceburmistrza dra Maciulskiego (1) w Żółkwi; grupa gości wraz z miejską strażą żółkiewską po uroczystości.

Matka królewiczów.

Żywo w pamięci Czytelników pozostał głośny skandal, którym zajmowała się tygodniami żądna sensacyi publiczność całego świata, a którego bohaterami byli: księżna Ludwika, małżonka dzisiejszego króla saskiego, a niedoszła królowa, oraz towarzysz jej ucieczki z Drezna do Szwajcaryi — nauczyciel Giron... Wiadomo, że teraz ekskrólewna Ludwika jest tylko hrabiną Montignozo i matką królewiczów. Właśnie przed kilkoma dniami osiągnęła ona to, na co tak długo czekała i o co tylokrotnie starała się daremnie: spotkanie z obu synami — królewiczami. Matczyne serce pragnęło tego gorąco i dzięki przyzwoleniu ze strony jej małżonka, życzeniu hrabiny stało się zadość w zupełności. Wprawdzie spotkanie się ma-

tki z dziećmi miało charakter bardzo oficyalny, skutkiem tego, że odbyło się w poselstwie saskiem w Monachium wobec posła saskiego bar. v. Friesen i gen. adjutanta króla Fryderyka Augusta, pana v. Grigern, ale mimo to obie strony były zadowolone. Publiczność monachijska zgo-



Matka królewiczów: Ostatnia fotografia hrabiny Montignoso (byłej królewnej Ludwiki saskiej, małżonki obecnego króla Fryderyka Augusta), zdjęta w Monachium w czasie jej spotkania z synami-królewiczami.

towała przy tej okazyi pełne sympatyi owacye zarówno hrabinie Montignoso, przybyłej do stolicy Bawaryi w towarzystwie matki, wielkiej ks. Toskańskiej i przyjaciółki swej Fuggerowej, jakoteż jej synom książętom Jerzemu (następcy tronu) i Fryder. Chrystyanowi, którym dopiero przy tem spotkaniu zaprezentowała matka swą najmłodszą córeczkę Monikę. Fotografia byłej księżny Ludwiki, którą załączamy, pochodzi wjaśnie z krótkiego pobytu hr. Montignoso w Monachium.

Zacięta walka o mandat.

Już dawno nie był Kraków widownią tak zaciętej zaiste walki o jeden tylko mandat, jak w tę środę.

Na ten dzień rozpisano wybory uzupełniające do Sejmu w miejsce śp. posła Jana Rottera, którego następcą do Rady państwa został tak właśnie bez walki, bez kontrkandydata nawet, dyrektor Sołtysik, polecony wyborcom przez obóz demokratyczny.

Inaczej poszło z wyborem do Sejmu. Zaczęto zaraz na pierwszych zgromadzeniach przedwyborczych stawiać kandydatury z przeciwnej strony, dowiedziawszy się, że demokraci na następcę Rottera postanowili i tutaj przeforsować swojego.

W ostatnim tygodniu wybór poprzedzającym rozwinięto z obu stron agitacyę gorącą, zdecydowawszy się w każdym obozie na jednego kandydata. Demokracya postawiła radcę szkolnego, znanego pedagoga i posła do parlamentu, dyrektora Ignacego Petelenza, na którego w mieście godziły się bardzo liczne koła wyborców.

Niemniej poważnego kandydata wysunął przeciw drowi Petelenzowi obóz konserwatywny w osobie znanego dyrektora miejskiej Kasy oszczędności, dra Walentego Staniszewskiego.

Agitowano w sposób niemal zaciekły z obu stron. Ruch wyborczy przy urnie był nawet dość ożywiony. Głosowanie trwało do piątej popołudniu, a odbywało się według ordynacyi sejmowej — jawnie.

Właśnie ta okoliczność, że musiano głosować jawnie, ustnie, stanęła na przeszkodzie do łatwego zwycięstwa kandydata demokratycznego, który wystąpił na zgromadzeniach przedwyborczych pod hasłem powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego.

Poprzeć kandydata demokratycznego nie mogły żywioły radykalniejsze przy wyborze w kuryi uprzywilejowanej, ograniczonej cenzusem podatkowym.

Wobec tego szanse wyboru przechyliły się przy urnie na stronę dyrektora kasy oszczędności,



Zacięta walka o mandat: Wybrany w środę posłem z Krakowa do Sejmu kandydat obozu zachowawczego, dr Walenty Staniszewski, dyrektor miejskiej Kasy oszczędności.

zwłaszcza, że znalazło się wielu zwolenników zasady, iż nie należy posyłać do ciał parlamentarnych więcej pedagogów, skoro już szkolnictwo nasze ma w reprezentacyi krajowej dość rzeczników.

* * *

Gdyśmy zamykali numer niniejszy, ukończono wieczorem skrutynium.

Posłem sejmowym z Krakowa wybrany został dr. Walenty Staniszewski, kandydat konserwatywny.

Z lwowskiego bruku.

(Nic o Fuku. — Zepsuta uroczystość, a ziewająca policya. — Historya spadku Nowickich a żywy nieboszczyk w Ameryce. Kto jest waryatem? — O wielkich i małych złodziejach. — Lwowscy kawiarze ratują swoje życie przed śmiercią głodową).

Myślałem, że będę wam mógł donieść coś pozytywnego o śledztwie a raczej o wyniku śledztwa generała Fuka, ale niestety, nic dotąd zwąchać nie zdołałem. Tyle tylko jest pewnem, że nie jest pewnem, czy Fuk „zdobył“ pieniądze w kasie Banku krajowego, czy inny Fuk, czy żaden Fuk, ale kto inny, kogo jeszcze nawet nie znamy i znać może nie będziemy nigdy. Ale ponieważ p. Fuk jeszcze ciągle jęczy w niewoli austryackich aresztów śledczych, przeto aż do skończenia śledztwa nietylko sprawa kradzieży bankowej, ale i sprawa wyswobodzenia Ojczyzny zostaje jeszcze w zawieszeniu.

Ale chwilowy brak p. Fuka daje się silnie odczuwać nietylko w karnych szeregach jego wojska, lecz także i w samem mieście, zwłaszcza podczas uroczystych obchodów, w których Fukowcy z Fukiem na czele brali zawsze udział odrębnie i na swój sposób, jak na rebelantów przystało.

To też najwięcej brakowało nam Fuka w ubiegłym tygodniu podczas Zaduszek. Nie przewidziała tego braku lwowska policya, która stanęła w komplecie na cmentarzu i w mieście i zmuszoną była przez cały wieczór ziewać. Ani jeden policyant nie odznaczył się, ani jeden nie odniósł poważniejszej rany i wogóle całe święto wypadło blado, bezbarwnie i nędznie. Bez jednego wystrzału, przeszła cała uroczystość a ci z policyantów, którzy starali się dla tradycyi bodaj słownie obrazić umundurowanych śpiewaków, także nędznie spudłowali, bo w tłumie nie było nikogo z hartownych, dzielnych i wyćwiczonych młodzieńców, nikogo z Fukowców, któryby na taką obrazę czynnie odpowiedział. Podobno aresztowany Fuk prosił, aby mu sąd bodaj na ten jeden dzień dał urlop, ale sąd nie uwzględnił motywów prośby, czem wyrządził krzywdę miastu i policyi.

Tak to przeszła marnie jedna z najpiękniejszych uroczystości, marnie, bo bez kamieni, bez krwi, bez echa.

Za to nie przeszła bez echa słynna sprawa spadkowa niejakiego p. Nowickiego, urzędnika Wydziału krajowego. Czytelnicy pamiętają z dzienników, że przed kilku miesiącami jakiś Nowicki zamieszkały w Ameryce miał zostawić 80-milionowy spadek dla swoich krewnych w Galicyi. Jeden z tych krewnych, właśnie ów Lwowianin, wyjechał nawet sam do Ameryki, bo obawiał się, że pieniądze tak wielkie, gotowe zabłąkać się na niewłaściwy adres. Wszyscy inni czekali w kraju z mocno i niecierpliwie bijącem sercem i snuli już plany, gdzieby najlepiej ulokować tak wielki kapitał. Jeden nawet marzył podobno o wykupnie całej Galicyi. Tymczasem przyszła do tutejszych Nowickich depesza z Ameryki, w której p. Nowicki ze Lwowa prosi, aby mu czem prędzej posłano pieniądze na powrót do domu, bo już nie ma o czem wracać. Ta depesza trochę zdziwiła familię, bo — kalkulowali — parę milionów mniej, parę więcej, ale jeszcze tyle mogło zostać po poczciwym nieboszczyku, aby jego lwowski krewny miał na podróż. Ale gdy przyszła druga depesza, posłano pieniądze. Pokazało się bowiem, że nieboszczyk jeszcze nie umarł i nawet nie opłaciłoby się, by umarł, bo sam biedny i czeka tam, czy nie umrze tu jakiś bogaty Nowicki w Galicyi i zostawi mu jakiś spadeczek...

Bo dziś swoją drogą łatwiej galicyjskiemu obywatelowi zostawić po śmierci ładny mająteczek, aniżeli amerykaninowi. Proszę tylko wziąć takiego Glińskiego. Był oficyałem pocztowym, jechał ambulansem i kradł grube pieniądze, a więc był waryatem — powiedział lekarz sądowy a za nim sąd. Jabym powiedział, że on wcale nie był waryatem, ale bardzo rozsądnym człowiekiem. Waryatem byłby według mego zdania, gdyby będąc oficyałem i jadąc ambulansem — pieniądze z własnej kieszeni dokładał. Lecz *verba locuta* i trzeba przyjąć rzecz, jak jest. Nam wypadałoby co najwyżej zastanowić się nad rodzajem tej waryacyi nieszczęśliwego urzędnika. Ale to temat dla psychopataloga, nie dla nas. My możemy tylko skonstatować, że kto przez szereg lat kradnie pieniądze, ten jest waryatem. Naturalnie sąd nie może go sądzić, bo „on nie wiedział, co czyni“. Jest to wzruszająco smutne ale jest faktem. Ma ten fakt tylko tę wesołą stronę, że teraz wszyscy złodzieje przydybani na kradzieży mówić będą: przepraszam, ale jestem waryatem. I trzeba ich będzie uwolnić? Nie! To tylko wtedy się jest waryatem, gdy się kradnie wielkie sumy — kto kradnie małe rzeczy, lub małe sumy, ten nie jest waryatem, ale złodziejem. Nic nowego... *Kleine Diebe hängt man auf, grosse lässt man laufen.* Stara zasada, jak świat.

Na zakończenie podnieść muszę z uznaniem, że lwowscy kawiarze podnieśli cenę herbaty i kawy po 4 hal. na szklance. Powiadam z „uznaniem“, bo lwowskim kawiarzom istotnie już w ostatnim roku groziła ruina i byliby musieli odnieść się do ofiarności publicznej przez urządzenie składek centowych w dziennikach. Ażeby temu zapobiedz podwyższyli cennik: teraz już nie wyginą z głodu.

O dorożkach automobilowych, ostatniej naszej nowości, napiszę w następnym liście, jeżeli mnie w tym tygodniu nie przejadą. *Kl.*

Aleksander Bandrowski.

Na publiczność zapełniającą salę koncertową składają się trzy kategorye słuchaczy. Pierwsza, zwykle najliczniejsza, to w przeważnej części bezmyślne istoty, szukające jakiegoś zbiorowiska ludzi, tej samej, co oni, klasy społecznej, dla pokazania swych nowych strojów i swej własnej osoby, a pożądających przy tem oglądnięcia drugiej; w mniejszej zaś części ludzie, którzy na koncert spieszą, bo nie być na koncercie sławnego X lub Y. nie wypada. Drugą kategoryę — mniej liczną — stanowią ludzie naprawdę muzykalni, eklekci, pragnący ogrzać swe aspiracye przy cieple jasnej sztuki i zaczerpnąć podniety dla swych myśli muzycznych i rozkoszować się pięknem sztuki, hoj nie rozdzielanem przez jej arcykapłana. Trzecią kategoryę tworzy szczupłe zwykle grono słucha czy — zdobywających niejednokrotnie wstęp do sali, za pieniądze przeznaczone na kilka obiadów itp. Ci przychodzą do sali nie po wrażenia este tyczne, lecz po... naukę.

Wiadomo powszechnie, że z uwagą wysłucha ny koncert dobrego — a nieraz i kiepskiego ar tysty, więcej nauczy, niż kilka lekcyj. Tu bowiem na estradzie w obec licznego grona słuchaczy wy stępują z całą plastyką wszelkie zalety techni czne i artystyczne koncertanta, lecz zarazem wszelkie jego wady, a uważny słuchacz przyswaja sobie nietylko zdobycze artysty np. śpiewaka, lecz podpatruje jego emisyę, sposób użycia dźwięku na tej lub innej sylabie — przeprowadzenia efektów dynamicznych i t. d., a niejednokrotnie uczy się także, jak tego lub owego śpiewać nie należy.

W mieście naszem, mamy śpiewaka dużej miary — artystę uznanego przez swoich i obcych, a gromadzącego każdem zapowiedzianem wystąpieniem tłumy zarówno eklektów i smakoszów muzycznych jak niemniej i wielką liczbę tych, którzyby czegoś naprawdę nauczyć się chcieli. Artystą tym szanowany i podziwiany p. Aleksander Bandrowski. Treściwą sylwetkę tego śpiewaka najwybitniejszego dziś w Polsce a jednego z najwybitniejszych w Europie, przyniosły Now. Illustr. w jednym z dawniejszych n-rów z powodu jego koncertu w sali Sokoła. Obecnie z okazyi oczekiwanego występu, podajemy podobiznę jego, zwracając przy tem uwagę na bogaty i niezwykły program, jaki posłyszą jego zwolennicy i wyznawcy. Znajdą się tedy na sali niewątpliwie nietylko ci, dla których muza Bandrowskiego jest stale przedmiotem sympatycznego podziwu, lecz i liczne rzesze osób oddających się z zamiłowaniem pracy nad zdobyciem sztuki śpiewaczej. *—urs.—*



Aleksander Bandrowski.

„Mateczka“

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

30 (Ciąg dalszy).

A teraz znowu te jej wyjazdy do sąsiada...

Wprawdzie ona sama zapewnia, że to tylko konferencye w sprawach religijnych, ale czyż jej można wierzyć, jej, którą przyłapał na różnych kłamstwach, krętactwach — mimo, że znał ją tak krótko.

Jeżeli tedy te jej wizyty u popa nie mają nic wspólnego z planami religijnej natury, a mają tło może erotyczne...

W takim razie zazdrość budzi się w nim, bo on już zdaje sobie sprawę z tego, że ją pokochał...

Stara się tedy wybadać ją, błaga, zaklina, by mu zechciała tajemnicę odkryć i wyznać, co to za projekty na wielką skalę nosi w myśli i jaki z tem związek mają mieć jej wizyty u sąsiada.

Ale Felicya ani myśli zdradzić się z czemkolwiek. Uparła się i nie chce ani słowa powiedzieć.

Kiedy więc zazdrość szarpie serce młodzieńca, postanawia on sam na własną rękę wyśledzić, po co jeździ gospodyni do sąsiada-popa.

Pierwszym razem, gdy tylko wybrała się znowu na wycieczkę, zręcznie pokierował pan Felicyan sprawą i przysiadł się do niej na wózek.

Ale nie dojechał nawet na miejsce.

Udało się gospodyni pozbyć się w porę intruza.

To tem bardziej wywołało w nim podejrzenia.

-- Poczekaj, mimo wszystko sam sprawdzę, co ty tam masz do roboty...

Groźba pana Felicyana nie była wypowiedzianą napróżno.

Zazdrosny młodzieniec nie namyślał się długo i plan swój wykonał przy pierwszej sposobności, gdy w trzy dni później gospodyni wybrała się ponownie z wizytą do popa.

Pożegnali się czule.

On nie zdradził się niczem, nie chcąc wzbudzać w niej podejrzeń, iż nosi się z jakimś planem tajemnym.

Ona zaś nie przeczuwając nic złego, była wesoła, swobodna, pełna pustoty nawet, gdy wsiadała na bryczkę, ucałowawszy młodego przyjaciela.

Wtedy pan Felicyan powrócił w głąb pałacu i zamknął się w swoim pokoju.

Nikt go nie widział do wieczora, a gdy podano do stołu kolacyę, agronom nie zjawił się wcale.

Służba wyobrażała sobie, że wyszedł przed wieczorem na przechadzkę i nie powrócił. Jeden z lokajów zajrzał do stajni, zanim spać poszedł, czy pan Felicyan nie brał koni, a kiedy się dowiedział, że agronoma w stajniach dnia tego nie widziano, machnął ręką:

— Ee, co tam, przecież nie dziecko z niego... Miałbym się o kogo troszczyć...

I poszedł spać najspokojniej, zapomniawszy o młodym paniczu.

. . . .

Bryczka z generalskiego pałacu przywiozła panią gospodynię na probostwo sąsiada przed zachodem słońca.

Paroch wybiegł z ganku uradowany i pomógł wysiąść pani Felicyi, którą wesoło w obie ręce ucałował na powitanie.

Przechadzali się po sadzie wiśniowym, gdy naraz z dzwonicy cerkiewnej ozwała się hałaśliwie sygnaturka.

Pop przystanął na ścieżce, przeżegnał się trzykrotnie i oddał się na chwilę szczerej modlitwie.

Ekstercyarka zsunęła się na kolana i odmawiała szeptem „Anioł Pański“...

Jaskrawe blaski łuny od rozsianego na zachodzie pyłu różowego, poprzerzynanej złocistemi zygzakami nad fioletową chmurą, która zakrywała ognisty czub zapadającego za bory słońca, oświetliły tę parę, oddaną modlitwie pośrodku gęstego sadu wiśniowego...

Dzwonek brzęczał głośno nad nimi wśród wieczornej ciszy — i nagle zamilkł.

Wtedy pop nachylił się nad klęczącą towarzyszką i pospiesznie pocałował ją w czoło — aż długą brodą kasztanowatą musnął ją po twarzy.

Felicya drgnęła, a paroch zaraz podał jej rękę i wstać pomógł z ziemi.

W tej chwili na kresach nieba słońce zachodzące resztką promieni rozdarło ciemny obłok i falą roztopionego złota zalało cały sad przy cerkwi.

Twarz Felicyi wydała się naraz jakby w aureoli złocistej, co widząc jej towarzysz z grzywą długich bujnych włosów jedwabistych, ukląkł przed nią i ująwszy kobietę za obie ręce, podniósł wzrok ku jej głowie ozłoconej.

— Klęcz tak przedemną, ojcze Iwanie — odezwała się do niego głosem jakgdyby rozmarzonym.

— Wasza głowa, Felicyo, wygląda niby w aureoli...

— Przypatrz się lepiej, a ujrzysz blaski tej aureoli nad mojem czołem nie inne, jako na obrazach Matki Boskiej...

— Takich u was nie widzę, wybaczcie, Felicyo...

— Bo nie chcesz zobaczyć... bo ci się zdaje, ojczulku, iż bluźniłbyś, przyznawszy się do tego głośno... Ale czas na to przyjdzie kiedyś... wierz mi... nie uśmiechaj się... musi czas nadejść, kiedy tak, jak przed chwilą, o zachodzie dnia na odgłos dzwonów kościelnych... do mnie będą się modlić ludzie po wsiach...

Pop chciał nagle wstać z klęczek, lecz go Felicya ścisnęła mocno za ręce.

— Zostań na kolanach przedemną... daj mi o tem marzyć, czego pragnę z całej duszy. Tak muszą księża kiedyś klęczyć przedemną, jak ty, ojcze Iwanie... Muszą mnie uznać mateczką najświętszą na ziemi i przy dzwonach kościelnych odmawiać na mą cześć takie pozdrowienie anielskie, jak dziś odmawiają dla...

Pop szarpnął ją gwałtownie za ręce i zerwał się z ziemi. Stanął przed nią ponury i spojrzawszy w twarz jej groźnie, zawołał:

— Wam się w głowie przewraca... Czyście zwaryowali, Felicyo... pleść takie rzeczy... Za daleko sięgacie w swych ambitnych planach... Dam pokój temu nawet, w czem przyrzekłem wam pewną pomoc, o ile by to było w mej mocy...

. . . .

Jakoś nieswojsko było im obojgu, gdy w kwadrans po tej rozmowie znaleźli się przy stole jadalnym, zasiadłszy do kolacyi.

Nie spożyli jej jeszcze ani w połowie, gdy naraz zawezwano popa na wieś do umierającej baby.

Odszedł ojciec Iwan od stołu. W pół godziny był już z powrotem.

Dokończono wieczerzy, a humor poprawiono sobie domowej roboty nalewkami.

Aliści znowu zapukano do drzwi, wzywając parocha do pobliskiego domu.

Nie okazał niezadowolenia, poszedł. A tylko Felicya nie taiła złości swej z tego powodu.

Ojciec Iwan powrócił tym razem dopiero po paru godzinach. Był przy skonaniu najbliższego swego sąsiada, zamężnego gospodarza, a rodzonego brata zmarłej niedawno żony.

. . . .

Na probostwie spali wszyscy jeszcze w najlepsze, bo świtać jeszcze nie zaczynało, gdy nagle ozwało się pukanie do drzwi. Wybiegła służąca rozbudzona otworzyć i zastała jakiegoś nędzarza przed progiem.

Zła — jęła opryskliwie dopytywać się, czego chce, lecz gość nocny nie dawał ani słowa odpowiedzi.

Na migi tylko tłomaczył coś dziewczynie, a im mniej ta go rozumiała, zniecierpliwiony niemowa używał gestów tem gwałtowniejszych.

Wreszcie popchnął służącą i sam wcisnął się niespodziewanie w głąb domu, zanim ta zdążyła intruzowi w tem przeszkodzić.

Firankami zasłonięte szczelnie okna nie przepuszczały do pokojów nawet tej odrobiny światła, jakie nieciło się już powoli na dworze przed samym wschodem słońca.

Z trudem tedy udawało się przybłędzie posuwać między sprzętami nieznajomego mu mieszkania.

Po ciemku jednak trafił już do trzeciego pokoju, gdy służąca dopiero wszczęła wrzawę.

Ale mimowoli zamiast mu przeszkodzić, ułatwiła sprawę nieproszonemu gościowi.

Wykrzykując, wniosła lampę zaświeconą i w jednej chwili utorowała smugą świetlną dalszą drogę niemowie, który drzwi znienacka otwarłszy, wpadł do sypialni parocha.

Z łóżka podniósł się krzyk przerażenia. To przebudziła się Felicya.

Wtedy zerwał się ze snu pop i poskoczył ku drzwiom.

Służąca zaczęła się tłomaczyć przed ojcem Iwanem, że jakiś przybłęda wcisnął się niespodziewanie, zanim zdołała go od drzwi odpędzić.

— Czegoś tu chciał — wykrzyknął paroch.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Nieczytelne pismo.

(Humoreska).

2 Dokończenie.

Ileż zgryzoty, ileż rozkoszy, ile niespodzianek sprawiało mi moje nieczytelne pismo! Zecerzy, którzy fejletony moje składali, przeklinali mnie aż do siódmego pokolenia. Zrazu, przy pomocy szkieł powiększających zdołał moje rękopisy drukarz odcyfrować, wkrótce jednak pismo moje stało się tak nieczytelnem, że zrozumienie, czego ja chcę, stało się bezwarunkowo niemożliwem. Ponieważ zaś redaktor wyjechał wtedy na dłuższy czas za granicę, przeto ja pisałem, co mi się podobało, a zecerzy składali z tego, co im się podobało. Jak w sprawach redakcyjnych, tak też działo się i w interesach moich prywatnych.

Niespodzianki ogromne i zdumiewające.

Naprzykład sprawa z moim sąsiadem Müllerem. Nie znałem go zupełnie, a raczej znałem go — nie osobiście wprawdzie, ale z jego okropnej muzyki, którą mi życie zatruwał. Dzień w dzień fałszował Bethovena. grał jak huragan na nieszczęsnych nerwach moich. Raz pod wpływem koncertu Bethovena opanował mię szał. Dostałem poprostu obłąkania. Napisałem do nieznanego mi zupełnie Müllera list:

— „Panie! Jesteś łotrem! Masz dziedziczną skłonność do kradzieży kieszonkowych! Takiego, jak pan kryminalisty, świat nigdy nie widział. Jeśli nie przestaniesz dalej zamącać powietrza fałszywą grą na fortepianie, wybiję panu wszystkie zęby“.

Po upływie dziesięciu minut, otrzymałem w liście banknot na 100 koron i odpowiedź następującą:

— „Ależ z największą przyjemnością służę panu pożyczką i dziękuję za zaufanie, żeś mnie pan zaszczycił zwróceniem się do mnie o pomoc. Dziękuję panu za to. Sługa. *Müller*“.

Schowałem banknot do kieszeni, a szalejąc z wściekłości, posłałem Müllerowi bilet.

— „Jesteś pan idyotą i kajdaniarzem!“

A on odpisał mi również na bilecie:

— „Z przyjemnością jeszcze raz zagram koncert Bethovena, który się panu tak podoba“.

Porwałem rewolwer, aby się zastrzelić. Ale wstrzymało mię od tego czynu wiele okoliczności, głównie zaś refleksya, że przecież nie mam najmniejszego powodu strzelania sobie w łeb, jeśli mam w kieszeni 100 koron. Zamiast tedy do cienistego lasku samobójców, poszedłem do restauracyi. Wierzajcie mi państwo, że przyjemniej jest siedzieć w restauracyi, niż leżeć w lasku samobójców z rozstrzelanym łbem. Zjadłem tedy obiad z przyjacielem mym, malarzem, potem odwiedziłem jego pracownię. Spodobał mi się obraz, przedstawiający wschód słońca. Wywiązał się między mną a malarzem dyalog następujący:

— Bardzo ładny ten pański obraz, przedstawiający wschód słońca.

— A jednak moje obrazy nie cieszą się uznaniem prasy.

Chrząknąłem charakterystycznie.

— Ten wschód słońca ozdobiłby mi mój salon.

Malarz chrząknął charakterystycznie.

— Recenzye o mnie pisane powinny dyszeć od entuzyazmu.

Uciekłem się do dyplomacyi. Zrobiłem do obrazu aluzyę:

— Gdyby ten wschód słońca był moją własnością, napisałbym entuzyastyczną recenzyę.

Ale malarz był też dyabelnym dyplomatą. Rzekł do mnie:

— Gdyby się zjawiła entuzyastyczna recenzya, darowałbym autorowi jej, mój wschód słońca.

Spojrzeliśmy sobie w oczy, dusze nasze weszły na marmurowe piedestały absolutnej moralności. Czułem, że ogromem uczuć i orlim polotem wzniosłem się ponad prozaiczne, w upodleniu żyjące tłumy. Rzekłem z mocą:

— Ja piszę recenzyę tylko z przekonania!!!

Malarz krzyknął tragicznie:

— Wiem o tem i uwielbiam pana! I ja mogę ofiarować wschód słońca z przyjaźni, ale nie dlatego, żeby ktoś pisał o mnie entuzyastyczną recenzyę. Pan znasz mój wzniosły sposób myślenia.

— Jesteś pan posągiem wzniosłości!!

— Jesteś szczytem moralności publicznej!!

— Obaj stoimy na aureolą otoczonych piedestałach! Słońca goreją u naszych stóp!

* * *

Recenzyę za obraz napisałem. Brzmiała ona entuzyastycznie. Zaczynała się od słów:

— Na horyzoncie sztuki zeszła nowa gwiazda, w świecie piękna nowe słońce płonie. Na imię mu August Pędzelkiewicz. Wystawił on szereg, zdumiewających talentem nowości: Tak jego „Koń przy studni“, jako i „Nosorożec w plenerze“, powiodą sztukę na nowe tory i t. d. i t. d.

Ponieważ redaktor wyjechał za granicę, ja więc piszę, co mi się podoba, zecerzy zaś składają mój rękopis, jak im się podoba. Złożyli oni natychmiast mój rękopis. Recenzya wydrukowana w dzienniku zaczynała się od słów:

— Ten znany głupek Pędzelkiewicz, nie chce na żaden sposób iść na Augusta do cyrku i wystawia babraniny. Obrazy jego tak idyotycznym pomysłem, jak i brakiem wszelkiego talentu budzą powszechne obrzydzenie, etc. etc.

Ja nie wiedziałem, jak zecerzy recenzyę złożyli, bo artykułów swoich nigdy w dzienniku nie czytam. Poszedłem więc do malarza po wschód słońca. Nie dał mi obrazu, ale wybił mi wszystkie zęby.

Dotkliwą tę przykrość sprawiło moje nieczytelne pismo.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożyła H. Mokrzycka, Drohobycz.

I.

Druga-czwarta — krótka w lecie,
Zwłaszcza, gdy kwitnie paproci kwiecie,
A gdy *trzecich* dużo miewasz,
To dość miodku nażywasz,
Pierwsza wspak i druga — dużo światła daje,
Przez nie nie widisz pola, wsi, lasy i gaje.
Całość — niewiasta z dzieł swych znana mnogich,
Opiewająca niedolę ubogich.

II.

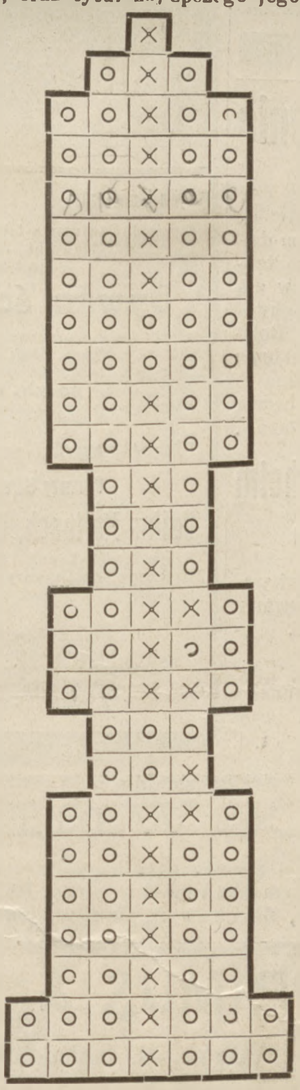
Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsze — zwierzę, rzeką *trzecia*,
A zaimek w *środku* —
Całość zawsze się pojawia,
Ale — raz do roku.

Zagadka.

Ułożyła Zetka.

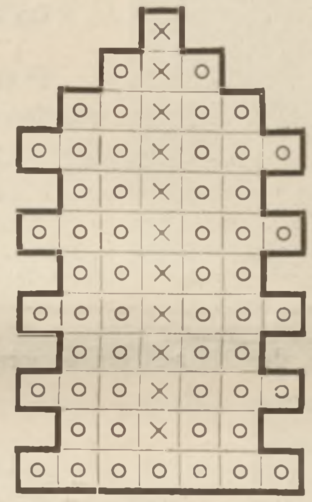
Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego, oraz tytuł najlepszego jego poematu.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Znakomity satyryk polski 3. Narzędzie kary. 4 Imię męskie żydowskie. 5. Narzędzie do świecenia. 6. To co pada w zimie. 7. Metal, z którego wyrabiają drobniejszą monetę. 8 Przyrząd, w którym się miele ziarno. 9 Inaczej wspólnie. 10. Wyżyna w Azyi. 11. Stolica Moraw. 12 Zwierzę domowe. 13. Imię żeńskie. 14. Imię męskie, cygańskie. 15. Jeden z najpiękniejszych darów człowieka, odznaczają się nim i ptaki. 16. Imię kobiece. 17. Miasto w Galicyi. 18. Narzędzie wzroku. 19. Inaczej miejsce, gdzie się woda kręci. 20. Miasto w Rosyi. 21. Siedlisko bogów greckich. 22. Miasto portowe w Niemczech. 23. To, co na rzekach zastępuje tratwy. 24. Część Polski, dziś pod zaborem rosyjskim. 25. Jedna z wysp antylskich. 26. Człowiek, zajmujący się prawami.

Kryptogryf.

Ułożył A. Rotter Stanisławów.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły tytuł najnowszego dramatu G. Hauptmana, granego obecnie na scenie lwowskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Wulkan w Azyi na wyspach Filipińskich. 3. Imię żeńskie. 4. Góry w Galicyi. 5. Gatunek broni. 5. Kraj koronny w Niemczech. 7. Najwyższe pasmo w Karpatach. 8 Imię żeńskie. 9. Pospolity okrzyk socyalistów. 10. Publicysta polski, autor „Wieczorów florenckich“. 11. Miasto na francuskiej Riwierze. 12. Kraj w Ameryce południowej.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę, nowele Gabryeli Zapolskiej p. t. „Menażerya ludzka“.

Rozwiązanie zagadek z Nru 43.

Szarady.

I. Karabela. — II. Parasolka. — III. Jadwiga.

Logogryf.

Komis, omle**t**, P**r**eda, Zada**r**, Eustach**y**, nożowni**k**, Iz**a**. O**r**łów, W**e**nera, S**e**negal, k**o**nopie, Izydo**r**, Falendys**z**. **R**aciborze, ekono**m**, **d**alopis, **r**okie**t**, ol**s**za.

Korzeniowski — Stary kawaler.

Fredro — Zemsta.

Kryptogram.

B, Bar, Małka, Bałuki, uncya, akt, i.

Bałucki.

Kryptogryf.

W, gil, Necho, Brzesko, karakorum, Wicek i Wacek, Dożywocie, Dunajec, Łucya, lew, k.

Wicek i Wacek.

Logogryf II.

Rymanów. Anna, Pol. Antyle, cietrzew, Kambizes, Irkuck, Sawantki, onyks, lando, szałas, karmin, i—o, Żydaczów, Eskimos, latarnik, amonici, znik, olcha, Wilhelm Suwałki, koń, Izokrates frak, Estkowski, lew, Dyonizy, Midas, Apollo, nosorożec, Franciszek, Rzewuski, eter, niekiedy, Kołobrzeg, Irawaddi, Euterpe, Lisander.

Rapacki. Solski, Żelazowski, Feldman, Frenkiel. Walewski, Sosnowski, Kamiński, Wysocki, Rygier.

Łamigłówka.

Fedon, Kazio, osina, Brest, sojka, Kreta, kogut, Turka, Kazań, Irena, Jacek, mahoń. fluor,

Dzieje grzechu.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Marya Świtlikowa Rzeszów, St. Łaszkiewicz Dębica, Fr. Niepokój Krosno, H. Mokrzycka Drohobycz, Towarzystwo „Zgoda“ Krosno, dr. St. Warmski Turka, Helena Zielińska Manajów, Al Bocsoń Bóbrka, A. Batko Lwów. Ewaryst Rzyst Kraków, Jan Badura Rożdzień, Maryan Cichewski Kraków, W. Gniadek Monachium, M. Rożański Libnaza, Z. Lipiński Monachium, K. Jurkiewicz Tłumacz. T Domain Sanok. A. Bogdalska Koropuż. St. Cieślik Kraków, „Abonent“ Długoszyn. Siła Nowiccy Lwów, podpis nieczytelny Stanisławów, W. Dziewiński Kraków, T. Mendys Tarnobrzeg, W. Lipiński Berlin, Z. Ehrenberg Kraków, M. Małaczyński Pikułowice, K. Fuchs Peczeniżyn, F. Kupferberg Drohobycz, W. Stanula Samocice, K. Ludwig Borysław

Nagrodę za rozwiązanie zagadek otrzymał przez losowanie p. Ewaryst Rzyst w Krakowie. Prosimy o zgłoszenie się po nagrodę.

Jedynym istniejącym prawdziwym środkiem piękności jest

„Haya“ Krem piękności



który usuwa piegi, plamy wątrobiane, pryszcze, wągry i t. p., nadaje przytem twarzy świeży, młodociany wygląd.

Zupełnie nieszkodliwy. — **Słoik 1 kor.**

Do tego **Mydło piękności** sztuka 1 korona.

Puder piękności pudełko 1 kor., biały, różowy i kremowy.

S. HAY APTEKARZ

c. k. dostawca nadworny

Lwów, ulica Kazimierzowska L. 26.

Wyłączna sprzedaż na Kraków i zachodnią Galicyę

Słynnego obuwia amerykańskiego

z fabryki

Florsheim & Company w Chicago

posiada

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



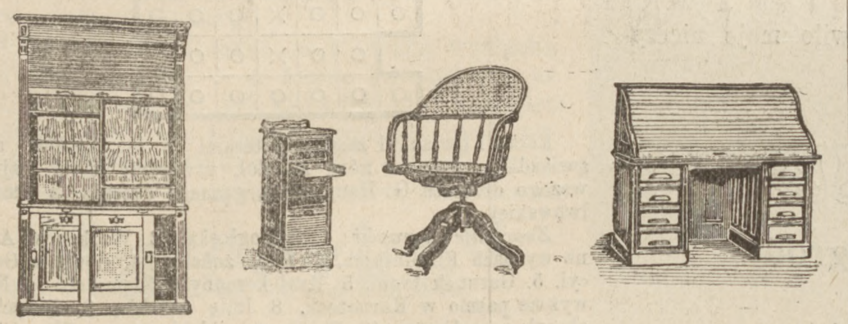
Magazyn galanteryjny, skład kapeluszy, bielizny, i przyborów do podróży.

w Krakowie, ul. Sławkowska 3/a, Hotel Saski Tel. 516.

RĘCZY (d)

apteka C. Balassa za to, że używanie codziennie działającego **angielskiego Mleka ogórkowego Balassa,** nie szkodzi twarzy. Prosimy Szan. Panie, aby przynajmniej raz zamówiły na próbę **Mleka ogórkowego** Balassa, a przekonają się zaraz, że ten środek usuwa natychmiast piegi, plamy wątrobiane, pryszcze, zaskórniki oraz różne inne nieczystości z twarzy, czyni twarz gładką, odświeża i odmładza. Cena za flaszkę 2 kor., do tego prawdziwie angielskie **Mydło ogórkowe** 1 kor., **Puder ogórkowy** 1·20 kor. i **Krem ogórkowy** 2 kor. Do nabycia we wszystkich aptekach. Wysyłki wprost uskutecznia **Kornel Balassa,** Andrássystrasse Nr. 47. Ostrzegamy przed naśladownictwem. Główny skład we Lwowie: **H. Rubel,** aptekarz, dawniej **L. Rucker.** Również do nabycia w Krakowie w aptekach: **M. Schwarza i A. Goldberga,** w Krakowie u **Reima i Sp.**

Automatycznie zamykane!



Amerykańskie Biurka z żaluzyami

oraz amerykańskie urządzenia biurowe z drzewa dębowego, orzechowego i mahoniowego poleca **ZYGMUNT LAUER,** generalne zastępstwo firmy The Globe Wernicke Co., Chicago, **w KRAKOWIE, ul. Starowiślnia 30.** Wystawa okazów przy ul. Starowiślnej 12 (parter). — Cenniki darmo.

Założona w r. 1884.

Pierwsza krajowa fabryka wyrobów koszykarskich

A. KONIEWICZA

Lwów, ul. Batorego L. 12.



Zaszczytnie odznaczona na wszystkich wystawach krajowych.

Wielkie magazyny, sprzedaż hurtowna i drobiazgowa.

CENY TANIE

Na składzie zabawki wyrobu krajowego, meble bambusowe, wózki dziecinne i t. p.

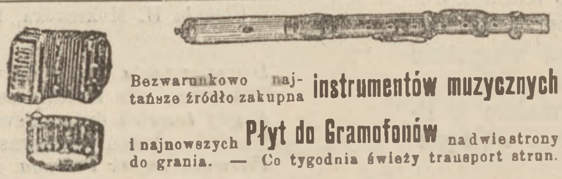
Zakład litograficzny

A. Andrejczyn

Lwów, ul. Kopernika 2

Wykonuje Bilety wizytowe, Zaproszenia ślubne i balowe, Druki kupieckie, Plany, Etykiety, Plakaty i wszelkie roboty w zakres litografii wchodzące

---



Bezwarunkowo najtańsze źródło zakupna **instrumentów muzycznych** i najnowszych **Płyt do Gramofonów** nadwiestrony do grania. — Co tygodnia świeży transport stron.

J. Bodenstein, Lwów, ul. Karola Ludwika 37

Szkodliwość nikotyny usunięta!

Zastosowanie wiedzy w życiu praktycznem wydało już niejednokrotnie zdumiewające rezultaty, przyniosło wiele pożytku ogółowi. Dziś higiena święci prawie na każdym kroku tryumfy, zrozumiałem więc jest, że i fabrykacya **tutek cygaretowych** — czyni postępy w tym kierunku, lecz nie wszędzie i nie zawsze z dodatnim rezultatem.

Moje wieloletnie próby, upodstawnione nauką i fachowem doświadczeniem, uwieńczone zostały ostatnimi czasy zdumiewającym skutkiem. Udało mi się bowiem dojść drogą badań do preparatu, znanego już dziś prawie wszędzie, pod nazwą:

„SALVESOL“.

Jest to **wata chemiczna,** mająca tak wielce pożądaną dla palących papierosy własność, że, by mnie nie posądzono o czczą przechwałkę — odsyłam Sz. Czytelnika do poniżej umieszczonego **uznania,** jakiem raczył mnie zaszczycić Wny Prof. Dr. **A. Mars.**

Z przyjemnością donoszę WPanu, że od czasu, jak używam Pańskiej waty **„Salvesol“** w cygarniczkach szklanych, nie doznaję przykrych objawów, które mi dokuczały skutkiem palenia tytoniu. Wobec tego upraszam o nadesłanie mi za pobraniem pocztowym i t. d.

Lwów, 2 maja 1903. Z wysokiem poważaniem

Prof. Dr. Antoni Mars.

Zakład przemysłowy wyrob. papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI w Krakowie 3.

FOSFATYNA FALIERA



przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. Ułatwia ząbkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.

Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Ostrzegamy przed naśladownictwami

Ozdoba dla każdego pokoju!



Tylko krótki czas! Za tę cenę jeszcze nie było.

Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8.000 dywanów ściennych i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny z szenilli

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 m. szeroki, a 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny r. nie, łabędź paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **po zł. 2·50.** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nieprzedostaje.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 80 ct. sztuka.

Pierwszy Morawski eksportowy Dom towarowy

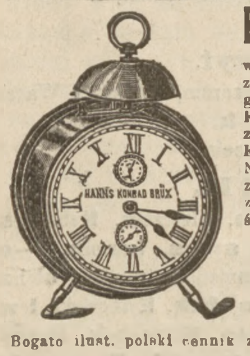
Julius Hoitasch, Göding Nr. 120 (na Morawie)

Tysiące podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie! Nieodpowiednie towary zostaną bez trudności przyjęte z powrotem a pieniądze zwrócone.

Do Pana Hoitascha w Göding: Księżna Aleksandra v. Croy jest bardzo zadowolona z zakupionych u Pana ściennych dywanów; proszę o przysłanie odwrotną pocztą jeszcze dwa dywany do okien, tak ... w katalogu r. 92 po zł. 2·80.

Z poważaniem **Franciszka Löschner,** ochmistrzyni.

Budzik konkurencyjny



według systemu ameryk., w każdej pozycyi idący, w doborowej jakości z 8-tnią gwarancyą za dobry i punktualny chód K. 2·90, przy odbiorze 3 sztuk K. 8·— z świecącym się w nocy cyferblatem K. 3·30, przy odbiorze 3 sztuk K. 9·—. Niema ryzyka! Zmiana dozwolona albo zwrot pieniędzy. Wysyła za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez pierwszą fabrykę zegarków

Hanns Konrad

w Brüx Nr. 897. (Czechy).

Bogato ilust. polski cennik z przeszło 1000 ilustr. darmo i opłatnie

---

Zawiadomienie

Niniejszem podajemy do wiadomości, że z dniem dzisiejszym oddaliśmy zastępstwo naszych wyrobów dla Galicyi zach. wraz z obwodem Przemyskim p. **Bolesławowi Wilkoszewskiemu** w Krakowie, ul. Wiślna 8, który utrzymywać będzie stale bogaty skład okazów.

Becher & Hildesheim

we Wiedniu

fabrykanci kas ogniotrwałych i przeciw włamywaniu zabezpieczonych.

Dostawcy c. k. Skarbu Pań stwa austryackiego. Tudzież rządów: włoskiego, serbskiego, bułgarskiego i t. d.

MAGAZYN BRONI PIELECKIEGO

PRZENIESIONY NA ULICĘ

AKADEMICKĄ 4

NAPRZECIW KAWIARNI SCHNEIDRA

POLECA

BROWNINGI

REWOLWERY

-MAUSERY-

-PATRONY-

DALEKOWIDZ bardzo praktyczny, pomysłowy wynalazek, dający się nosić w kieszeni bardzo łatwo umieścić na każdej lasce. Można przezeń widzieć na odległość kilku godzin. Cena kompletu wraz ze sposobem użycia 1 sztuka 85 ct., 3 sztuki złr. 2·40; drugi gatunek 1 sztuka 2 szt. 2·— złr. Przesyłka za poprzedniem nadesłaniem nal...



HANNS KONRAD w Brüx, Nr. 488 (C... Dom przesyłko...

Bogato illustr. polskie cenniki z przeszło 1000 rycinami na ... darmo i opłatnie

---

MAGAZYN I PRACOWNIA FUTER

Feliksa i Juliana Lubelskich

WE LWOWIE, UL. WAŁOWA 3

Polecamy na sezon zimowy nasz bogato zaopatrzony zapas Futer w skurach jakoteż gotowe Futra damskie i męskie, Saka, Peleryny, Paletociki, Żakiety astrahan., Kołnierzy, Boa, Zarękawki, Czapki, Kurtki myśliwskie i Futra do podróży.

Materye na wierzchy w kolosalnym wybo...

Wykonanie trwałe i staranne.

— Ceny nadzwyczaj niskie. —

Bogato illustrowane cenniki wysyłamy odwro...

Magazyn materyj na meble, Portier, Firanek do okien, Dywanów, Chodników i Dekoracyj pokojowych, Kapy na łóżka,

W. PRIMUS & S. IGLICKI

Lwów, ul. Jagiellońska l. 12.

Kraków, ul. Sławkowska l. 10, (naprzeciw Grand-Hotelu)

Serwety na stoły, Meble do salonów, sypialni, jadalni, oraz mężkich pok..., Tapety. — Własna pracownia tapicers...

Modne grzebyki i szpilki franc. i ang. modele

Wody toaletowe, mydła, polisoary poleca **St. Wiskida, Kraków,** salon fryzyerski **(Hotel Saski)**

Szampoing Petrole do ... aparat do suszenia włosów Pań w ... osobnym pokoju. Patentowane podkł... do fryzur. — Hygieniczny salon dla Pa... Rendez-vous dla obcych.